ANNA Z KRAKOWA

(Terlecka.)

Wszyscy uszami serca i duszy słuchali,
Cicho było, nikt ciszy nie przerwał do koła,
Głos twój szemrze jak strumyk, a nikt go nie chwali.

(Wyjątek z sonetu napisanego do Anny Terleckiéj przez *Kazimierza Turowskiego*).

Urocza i luba postać Anny z Krakowa pokryta pyłem zapomnienia, a jednakże śmiało zaliczyć ją możemy do grona znamienitych niewiast naszych. Udziałem jéj był dar poetyczny, owa boska iskierka, która budząc w sercach ludzkich szlachetne uczucia, odrywa je od ziemi i wznosi w niebiańskie sfery, skąd dusza nieśmiertelna swój początek wzięła. Gdyby śmierć przedwcześnie nie wytrąciła jéj pióra z ręki, byłaby niewątpliwie stanęła w rzędzie znakomitych poetek. Niewielką pozostawiła liczbę utworów, lecz życie jéj całe było jednèm pasmem najwznioślejszej poezji. Córka Tekli z Romerów i Hermana Szugta, profesora literatury greckiéj i łacińskiéj w Jagiellońskiéj wszechnicy, urodziła się w r. 1810 w województwie krakowskiém, gdy zaś skończyła dwa lata, rodzice jéj przenieśli się na stałe mieszkanie do samego Krakowa. Kształcona moralnie przez nich, pobierała tam nauki na wzorowéj pensji i wielkie czyniła postępy. Posiadając gruntownie język ojczysty, biegłą była we francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim, oraz w wyższéj muzyce i śpiewie. Pod kierownictwem światłego ojca, w obec otwartych skarbów piśmiennictwa polskiego bystry jéj umysł szybko się rozwinął, dusza zaś i serce na drogę idealną skierowane zostały. Mieszkanie w Krakowie niemało się przyczyniło do podniesienia jéj ducha; dla istoty myślącéj, tkliwéj i obdarzonéj żywą wyobraźnią, widok naszego starożytnego grodu nie może być obojętnym i owszem staje się niejako nauką moralną, żywą kroniką przeszłości. Anna téż z grobowców uczyła się dziejów swego narodu, a liczne pomniki, świadki jego wielkości i chwały, były źródłem z którego czerpała wyższe natchnienia. Żywa wyobraźnia i głęboko wszczepione pojęcia religijne, zwróciły całą myśl jéj do świata umysłu, dobroć zaś i litość pociągała ją ku cierpiącym téj ziemi. Jak anioł pocieszyciel niosła radę i pomoc ubogim; nieraz sama opatrywała wstrętne rany, tam gdzie niedostatek niedozwalał przywołać lekarza, a łzy wdzięczności i błogosławieństwa, nagradzały jéj słodko poniesione trudy. Jaśniejąc urodą, wdziękiem i dowcipem, była duszą wykształconego ówczesnego społeczeństwa i mimowolnie ściągała koło siebie liczne grono wielbicieli, przez co stała się przedmiotem zazdrości dla osób mniéj hojnie obdarzonych od natury. Przykre chwile które przebyła z téj przyczyny, dały jéj powód do napisania jednéj z najpiękniejszych jéj poezji pod tytułem *Trzy łzy anioła.* Piękna, szczęśliwa, kochana, lubiła zabawy i wesołością swą ożywiała dom rodzicielski, lecz gdy się przejrzała w świecie rzeczywistym, gdy dostrzegła jak zawistna mierność często wyższości nie przebacza, pragnąc ją poniżyć i z sobą zrównać, jak czcze mamidła bogactwa iro-



du naigrawają się nieraz prawdziwéj zasłudze, wolała usunąć się z widoczni świata i w zaciszy domowéj spokojne pędzić życie. Właśnie w tych chwilach gdy smutek rzewny zajął miejsce dziecięcéj wesołości a łzy gorzkie zrosiły lica, Opatrzność dozwoliła znaleźć Annie serce odpowiednie jéj sercu. W r. 1831, oddając usługi nieszczęśliwym chorym, poznała młodego człowieka, dla którego z początku najtkliwszą tylko litością przejętą była, jak się sama w napisanym wtedy wierszu wyraża:

Znacie wy litość w sercu kobiety?
Jako Eola arfy tony drażliwe,
Tak różne to czucie rozwija zalety;

. . . .

Przeto dziewczyna,
Gdy od litości zaczyna,
Biada jéj!... pada łupem zdobyczy,
Litość westchnieniem tylko z miłością graniczy.

. . . .

Doznała tego przejścia Anna i po dwóch latach walki z przeciwnościami, uczucie jéj uwieńczone zostało węzłem małżeńskim. Ziściły się wtedy marzenia w których powiada: „że będąc czułą za wszystkie kobiéty, pragnie silnego wzajemnego uczucia.“ Późniéj znów mówi wierszem:

Chcesz wiedzieć, co sobie życzę?
Nie jeden powie, myśl płocha!
Lecz ja nad wszystkie słodycze
Chcę duszy, co stale kocha.
Gdyby mi dziś wolno było
Niebiosa skłonić surowe,
Gdyby się wszystko spełniło,
Dałabym życia połowę!

. . . .

Być kochaną bez przestanku,
Jak Bóg swoje światy kocha,
Świat cały znaleźć w kochanku,
Czyż ta myśl może być płocha?
Lecz wszystko zniszczeniu służy,
I bez litości przemija;
Wszak w najpiękniejszy liść róży,
Nędzny się robak owija
Tak w sercu, choć piękne uczucia
Wzrastają i dojrzewają,
Jest wąż którego zakłucia
Śmiertelny jad zostawiają.

Ja jego czuję truciznę,
Nazwać jéj nie umiem jeszcze,
I jak po ojcach puściznę,
Karmię, hoduję i pieszczę.

Niestety przeczuwała że szczęście na ziemi długo trwać nie może; lękała się wychylić z domu, aby nie utracić jednéj nawet chwilki błogiego swego pożycia. I rzeczywiście, gdy serce jéj przepełnione było uczuciem dla męża i syna, w samą rocznicę ślubu (8 lutego 1835 r.), świat ten opuściła w 24 roku życia. Łzy niepocieszonéj rodziny, przyjaciół i ubogich, długo grób jéj zwilżały. Zacny mąż Anny, doktór medycyny Hipolit Zygmunt Terlecki, nie mógł się nigdy pocieszyć po stracie swego anioła. Poniósł najpierw boleść swą do grobu Zbawiciela, w kilka zaś lat potém odebrawszy w Rzymie błogosławieństwo Ojca Świętego i ukończywszy teologiczne nauki, wstąpił do zakonu Ks. Bazyljanów, w którym do dziś dnia pełni przykładnie obowiązki kapłańskie.

Oprócz wyżéj wspomnianego poematu *Trzy łzy anioła*, drukowane były jeszcze z podpisem *Anny z Krakowa* w Sławianinie piśmie wydawaném we Lwowie (w r. 1837 i 1839), *Dwie pieśni*, *Wigilja św. Andrzeja* i wiersz *do ptaszków*, którego wyjątek tu przytaczamy:

. . . . . o ptaszki jedyne!
Chcąc swą miłą krainę
Bezpiecznie rzucić,
Zdrowo powrócić,
Ptaszki! to trzeba
Wpłynąć pod nieba.
Prześcignąć skały i chmurek gońce,
Zaprzyjaźnić się z orłami,
Z wszystkich żywiołów znakami,
A za skazówkę obrać sobie słońce!

Inne poezje pozostały w rękopismach w ręku rodziny i przyjaciół; w jednéj z nich króciuchnym wierszyku, który mamy pod ręką, maluje się to tęskne pragnienie nieskończoności zwykłe duszom wybranym, które jak Anna są krótkiém i lubém zjawiskiem na téj ziemi:

O sny młodości, lube ideały!
Wy pieszczone najsłodsze dzieci wyobraźni,
Z wami tak miło na świecie!
Choć przy was wszystko łacniéj serce drażni,
Lecz wy razem czuć dajecie,
Że dla duszy świat cały,
Jeszcze za mały! za mały!

Stanisława P.

HELENA.

Wspomnienie z pobytu na wybrzeżach Renu.

(Dalszy ciąg.)

Tak więc Helena została nagle obudzoną z błogiego snu, któren się stał potrzebą jéj życia, do strasznéj rzeczywistości. Pragnęła, musiała się rozmówić z Augustem, któren udezrony nagłą zmianą w obejściu z nim wszystkich, ścigał ją wzrokiem pytającym, pełnym boleści i niepokoju; lecz to się stało niepodobieństwem gdyż matka już jéj na chwilę

nie odstępowała, śledząc każde wejrzenie i słowo. Nareszcie w wilją św. Sylwestra udało się Helenie szepnąć, podając herbatę Augustowi „bądź pan jutro na balu.“

Piérwszy bal! ile marzeń, ile uroczych wrażeń to słowo na myśl każdéj kobiécie przywodzić powinno! a jednak ileż to między niemi przynosi tam jak Helena, uśmiech kłamany, a boleścią szarpane serce? Helena śmiała się, rozmawiała wesoło, tańcowała lekko, a oczy jéj niespokojnie szukały Augusta; ujrzała go nareszcie, zbliżył się i do walca zaprosił. O czemuż tak w tym tańcu i w jego objęciu umrzeć nie mogła! Przestali i usiedli w zagłębieniu okna, zasłonięci przed okiem ciągnących tłumami par, śmiejących się i sobą tylko zajętych.

— Na Boga! co się stało? zawołał August.

— To czego się dawno spodziewałam, rzekła Helena. Trzeba się nam rozstać, panie Auguście; tu opowiedziała całą scenę jaką przebyła, gniew ojca i wyrzekanie matki. August załamał ręce z rozpaczą.

— Wszędzie gdzie się ukażę, zawołał, noszę wiecznie z sobą cierpienia i boleść. Czemuż nie miałem odwagi wyrwać się ztąd wcześniéj, nim zatrułem życie twoje!

— O nie mów tego, przerwała mu z żywością. Nie zatrułeś mi, ale owszem rozjaśniłeś życie, zrobiłeś wiele dobrego. Tyś wlał w mą duszę światło, tyś mię nauczył rozpoznać dobre i złe, tyś mię nauczył patrzeć daléj niż na ten świat, a zresztą wierzaj mi, lżéj iść drogą życia jeśli się miało jedną swobodną godzinę, raz nasyciło serce weselem bez miary, a myśmy przecie trzy lata szczęśliwemi byli!

Muzyka grała, ludzie szaleli, a nikt uwagi nie zwrócił na tych dwoje ludzi, którzy z oczami łzami zalanemi szeptali słowa miłości, a temi słowami poraz piérwszy wyrzeczonemi, żegnali się na wieki! Zwolna jednak gwar ustawać począł, pary się przerzedzały. Helena piérwsza dostrzegła rodziców szukających ją niespokojnym wzrokiem. „Żegnam cię“ wyrzekła raz jeszcze, drżąc cała i podała mu rękę.

— Niech cię Bóg błogosławi, bądź szczęśliwą! odparł zaledwie dosłyszanym głosem i rozstali się.

Nazajutrz Augusta już w domu nie było, a Helena niebezpiecznie zachorowała. W półroku późniéj została żoną hr. M.

Jak się to stało, łatwo pojąć. Słaba istota, nie mogła oprzeć się woli rodziców. Zresztą od chwili rozstania się z ukochanym, rozpacz która ją ogarnęła, wzrastała ciągle wspomnieniami co ją otaczały, tak, że pragnęła wyrwać się z tych miejsc, które były niememi świadkami jéj szczęścia; byłaby chciała uciec gdzie daleko, pomiędzy obcych ludzi, których twarze nieznajome nie dręczyłyby ją przypomnieniami.

Hrabia M. był to człowiek już nie młody, przyjaciel jéj ojca, znała go i ceniła od dzieciństwa. Wyznała mu szczerze stan swego serca, a gdy tenże oświadczył, że wyznanie to tylko zwiększa dla niéj szacunek, nie zmieniając w niczem uczucia, które ma nadzieję że i ona z czasem podzieli, Helena pomyślała iż nowe obowiązki które na siebie przyjmie, z silném postanowieniem spełniania ich najwierniéj, może choć w części zagłuszą boleść jéj serca. Została więc żoną hr. M. i wraz z nim wyjechała na Litwę. Piérwsze lata jéj pożycia były bardzo ciężkie. Hrabia wymagał od niéj dowodów przywiązania, a niemogąc zwalczyć jéj oziębłości, dręczył zazdrością swą. Helena więc była zmuszoną przywoływać uśmiech na usta, ale w tém kłamaném życiu, w téj ciągłéj komedji, serce jéj zastygło zupełnie. Wszelkie dawne uczucia, przywiązanie do rodziców, rodzeństwa, przyjaciół, zamarło w jéj sercu Jedna tylko litość nad cierpiącemi jeszcze je wzruszała. By im nieść pomoc otrząsała się na chwilę z apatji w któréj pogrążona była, znajdowała siłę i energię, ale wtedy nawet choć czuła litość nad cierpieniem, cierpiących kochać już nie mogła.

Nie będę opisywać dalszego jéj pożycia, można go określić jedynie słowy, *wieczna tęsknota*, dnie spędzane na sztucznem pełném wysileń życiu, noce przebyte w ciągle wzrastającém pragnieniu żalu za straconemi shwilami szczęścia. W kilka lat po ślubie, doszły ją wieści o ożenieniu się Augusta z niemką, jedyną córką bogatego fabrykanta z Wrocławia, u którego po wyjeździe z Warszawy był za sekretarza. Wiadomość ta nie strapiła jéj wcale. Miłość jéj była tak czystą i bezinteresowną! Myśl, że August znalazł szczęście, miłość i nie zależność w tém życiu, które mu dotąd tak ciężkiem było, pociechę jéj nawet przyniosła.

Po ośmiu latach pożycia z mężem, Helena została wdową. Śmierć hrabiego w piérwszéj chwili boleśnie ją dotknęła; szanowała go i przyzwyczaiła się do swego losu. Teraz dopiéro prawdziwie uczuła się samą na świecie. Półroku przeżyła w jakiemś ubezwładnieniu moralném, lecz pomału, gdy piérwsze wrażenie żalu wolnieć zaczęło, dawna tęsknota, dawne uczucia z podwójną siłą w niéj zawrzały.

„Zobaczyć go!“ myśl ta raz obudziwszy się w jéj sercu, stała się silném postanowieniem. Poczuła rodzaj niezwykłéj w sobie energji, pojechała do Warszawy i w krótkim czasie tak urządziła swe interesa, że sprzedawszy majątek z summą zapewniającą jéj na całe życie niezależność, odjechała do Wrocławia. Tam dowiedziała się, że August R. po śmierci teścia wyniósł się wraz z żoną w okolice Frankfurtu, gdzie w pięknéj willi nad brzegem Menu zamieszkał. Pojechała więc tam, lecz zajrzyjmy teraz do jéj dzienniczka który najlepiéj objaśni stan jéj duszy.

Frankfurt 1go Kwietnia
Hotel zum Römischen Kaiser

Jestem więc we Frankfurcie. O! ktokolwiek stracił kiedy istotę która mu była wszystkiem, ktokolwiek miał chwile w których nieskończona tęsknota za nią rozrywała duszę, tak żeby życie, ach! wieczne szczęście oddał, byle chwilę jedną obaczyć utraconego, wierną rękę uścisnąć i na kochanéj piersi pochylić głowę i płakać, płakać.... ten pojmie całą siłę tych słów, które sobie co chwila powtarzam: „Zobaczę go! Jak? gdzie? tego niewiem. Wiem tylko, że muszę go widzieć, muszę choć raz jeden jeszcze usłyszeć dźwięk drogi jego głosu. Zdaje mi się, że mi tu lżéj oddychać gdzie on pewno często bywa, kocham to powietrze które go otacza. Mam przed oczami kartkę z jego adresem któren mi dano we Wrocławiu.

„Wioska *Willfurt, willa Rosenberg* o pół mili od Frankfurtu,“ pół mili tylko! jutro tam będę, żeby to jutro prędzéj przyszło!

. . . .

Co za szczęście! nie widziałam go, ale go widzieć będę ciągle, może zawsze mieszkać pod jednym dachem, żebym tylko była w stanie znieść tyle radości, nie zdradzając się!

Boże mój, dozwól! Wszak ja nic złego nie pragnę, tylko widzieć go, cieszyć się jego szczęściem, sama nieznana, zapomniana. Ale muszę opisać jak się to stało. Dziś rano, po nocy spędzonéj w gorączkowéj niespokojności, najęłam powóz i kazałam się zawieść do Willfurt. Czas był prześliczny, słońce świeciło i moje serce śpiewało hymn radości od lat wielu mu nieznany. Droga ciągnęła się ponad brzegiem Menu wśród rozkosznych pałacyków i ogrodów, letnich mieszkań bogatych frankfurtskich kupców. Nareszcie ukazały nam się ładne domki malowniczo nad wzgórzem rozrzucone.

— Oto Willfurt,“ rzekł woznica obracając się do mnie.“

— A to co za pałacyk i ogród po téj stronie“ rzekłam z największém wzruszeniem, gdyż się domyślałam odpowiedzi.

— To Rosenberg, majętność jakiegoś grafa z Polski,“ odparł zatrzymując się przed oberżą „*Zum goldene Weintrauben.*“ właśnie naprzeciwko bramy zamykającéj wejście do tego pałacyku leżącéj.

Weszłam do oberży, nakazawszy woźnicy wyprządz konie i zaczekać na mnie. Gospodyni miejscowa zwinna niemka, przyjęła mię jak zwykle propozycją kawy.

— Zapewne pani tu przyjechała obejrzeć ruiny zamku co się za wsią znajdują, wielu cudzoziemców przyjeżdża je zwiedzać.

— W istocie, rzekłam, jest to piękne miejsce.

— O bardzo, podczas pory winogronowéj, mamy wiele gości przez długi czas bawiących, a są Anglicy co nawet przez zimę tu siedzą.

— Doprawdy, są więc mieszkania do najęcia?

— O są i bardzo wygodne, a możeby tu pani zamieszkać chciała?

— Być może, odpowiedziałam i przystąpiłam do okna salki, z którego widok ponad żelazne sztachety naprzeciw drogi leżącego parku, na szerokie żwirem wysypane aleje, piękne wspaniałe drzewa tylko co rozwiniętemi liśćmi okryte, na kwiatkami ubarwione trawniki. Niby od niechcenia zaczęłam się wypytywać niemki o mieszkańców tego pięknego miejsca. Gadatliwa gospodyni szeroko się o nich rozwodzić zaczęła.

— O! znam ich dobrze, mówiła, od lat trzech tu już mieszkają. Pan to jakiś polski graf, ma takie trudne nazwisko, że mi go wymówić niepodobna, trochę dziwak i dumny, przystęp do niego nie łatwy; ale jego żona, to niemka i anioł dobroci. W całéj okolicy znają ją i szanują pod imieniem *dobréj pani*, do niéj się cisną chorzy i biédni i każden pocieszony odchodzi. Miło mi było słuchać pochwał téj którą on uznał być godną siebie. O z pewnością musi to być wyższa istota która potrafiła go poznać i ocenić.

Pragnęłam znać i pokochać ją jak siostrę.

Gospodyni mówiła daléj: o ja ich znam bardzo dobrze, bo widzi pani od lat trzech już wszystkiego im dostarczam, odemnie biorą mięso i mleko i co tylko potrzeba, a pani ma takie we mnie zaufanie, że z niczyjéj rekomendacji sług nie przyjmie, tylko z mojéj. Właśnie teraz szukam dla niéj piastunki do dzieci.

W téj chwili myśl szalona, błoga, jak błyskawica przeleciała mi przez głowę. Niemka daléj gadała ale już jéj nie słuchałam, myśl owa przybierała coraz wyraźniejsze kształty i możliwszą się stawała. Potrzebowałam jednak głębszego zastanowienia. Prosiłam więc gospodyni aby mi przygotowała lekki obiad, a sama udałam się w strony owych ruin o których mi wspomniała. Nie doszedłszy jednak do nich, zaledwie się znalazłam zdala od oczów ludzkich, siadłam pod drzewem rosnącym nad ścieszką którą szłam.

Długo, długo myślałam, rozważałam, nareszcie plan mój był gotowy. Przyjąć miejsce piastunki u p. R. jako siostrzeńca owéj niemki. Szczęściem język niemiecki doskonale posiadałam, dlaczegożby więc mi się to udać nie mogło?

Mój Boże, jabym chętnie pomywaczką była u nich, byle tylko czasem słyszeć głos jego, spotkać się z jego wzrokiem! Cóż w tém złego? Mój Boże, nacierpiawszy się tyle, czyż mam sobie odmówić tego jedynego szczęścia? Ja już nie mogę dłużéj żyć w innéj atmosferze jak w téj która jego otacza, zresztą ja nic więcéj nie pragnę, jak widzieć go, być niemym świadkiem jego szczęścia i codziennie błogosławić *tę* ktora mu to szczęście dała. Zdradzić się nie boję, zanadtom się nauczyła nosić

zawsze maskę na twarzy, abym i teraz nie potrafiła nakazać milczenia memu sercu.

Zresztą postanowiłam sobie silnie, za najmniejszą oznaką poznania z jego strony, uciec aby nie zakłócić spokoju tych, którym tylko błogosławieństwo przynieść pragnę.

Chodziło tylko o zabezpieczenie sobie milczenia i pomocy gospodyni *z Goldene Weintrauben*, bez któréj współdziałania nicbym począć nie mogła, ale wiedziałam że pieniądz jest to argument który wszędzie trafia do przekonania. Wróciłam więc do hotelu i po parogodzinnéj rozmowie z gospodynią, któréj domysłowi zostawiłam powody które mnie do tego kroku skłaniają, potrafiłam przecie nakłonić, a raczéj kupić ją na swoją stronę.

Późno już w nocy wróciłam, a następny dzień cały zszedł mi na przygotowaniach.

Papiery moje, pieniądze i rzeczy złożyłam u bankiera F. do którego miałam list rekomendacyjny.

Zostawiwszy przy sobie nie wielką summę na wszelki przypadek. Kupiłam sobie cały ubiór wieśniaczki z Alzacji, wybrałam tę narodowość, gdyż gospodyni z Willfurt w istocie jest rodem z Alzacji, a ja mam uchodzić za jéj siostrzenicę. Przytém dziwaczny ten strój najlepiéj mię zamaskuje. Skromny tłomoczek z całą wieśniaczą wyprawą leży w kącie, a ja z najwyższą gorączkową niecierpliwością oczekuje dnia jutrzejszego, któren ma o moim losie stanowić.

Rosenberg

Jestem tu! on mnie nie poznał, wszystko poszło jak najlepiéj, a ja, o jakżem szczęśliwa! Widziałam go! o! jeszcze raz powtórzyć muszę.... *Widziałam go!* i łzy mi się leją i serce z radości skacze, a jednak o Boże mój.... ty jeden wiesz, ile różnorodnych uczuć serce twych stworzeń mieścić w sobie może! Wczoraj rano pojechałam do Willfurt przed samym wieczorem, gdyż piérwszego spotkania przy blasku słońca obawiałam się, byłam już ubrana za *Luizę* wieśniaczkę; a więc okrywała mnie grubo nafałdowana czerwona spódniczka wysoko zawiązana, czarny fartuszek, niebieskie pończochy, dziwnéj formy gorset z nadzwyczaj krótkim stanem, żółta na szyi chustka pod pachą związana i włosy okryte czapeczką z czarnego aksamitu. Strój ten niezgrabny doskonale mnie przebrał, ale i bez tego jedno spojrzenie w zwierciadło, zupełnie mnie uspokoiło. Czyż podobna aby w téj żółtéj, znękanéj twarzy, na któréj tyle lat cierpień znaczne ślady zostawiły, August poznał ową młodą Helenę, którą lat temu dziesięć kochał?

Udałam się ze starą niemką do Rosenberga. Ona znając doskonale zwyczaje tutejszych mieszkańców, wybrała wedle méj woli godzinę w któréj August odbywał konną przejażdżkę, a pani R. sama się znajdowała. Przebywszy piękną długą aleję, stanęłyśmy nareszcie przed gankiem pałacyku. Tu moja *ciotka* zostawiła mnie, by pójść się sama rozmówić z panią R. Z bijącém sercem oczekiwałam chwili w któréj miałam tę ostatnią ujrzeć. Wystawiałam ją sobie idealnie piękną, z piętnem wyższego umysłu na czole, bo inną czyżby mógł kochać August?

Nareszcie zawezwano mnie do niéj. Wszedłszy do pokoju w którym siedziała, dygnęłam najniezgrabniéj jak tylko mogłam i stałam ze spuszczoną głową, ukrywając mimowolnie pomieszanie pod pozorem nieśmiałości dziewczęcéj, krecąc w palcach róg fartuszka.

— Chcesz więc przyjąć u mnie miejsce? wyrzekł słodki dość głos.

— Tak jest pani, wyjąkałam.

— A jakież są twoje warunki?

— Jakie mi ciotka przyjąć każe, odparłam nie śmiało, zaczęła się więc żwawa rozmowa, pomiędzy dwoma niemkami, a ja się badawczo przyglądać zaczęłam mojéj przyszłéj pani i niemile zadziwioną zostałam widokiem jéj. Była to dość otyła blądynka, biała i rumiana, rysów pospolitych, niesmacznie ubrana.

Siedziała na krześle wśród stosów brudnéj bielizny, świadczących że się w téj chwili oddawała bardzo prozaicznemu zajęciu. Oczy jéj wypukłe, blado niebieskie, patrzały łagodnie, ale nie było w nich blasku, niskie jéj czoło nie nosiło śladów téj wyższości duchowéj, którą w méj myśli otaczałam wybraną przez Augusta kobiétę.

Być może, że po dłuższym poznaniu odkryję w niéj to, czego na piérwszy rzut oka dojrzéć nie mogłam. W chwili gdyśmy się już o warunki méj służby umówiły, doszedł moich uszu tentent kopyt końskich a następnie odgłos zbliżających się kroków. Usunęłam się w najciemniejszy kąt pokoju, gdyż czułam że blednę, wszystko około mnie kręcić się zdawało, oparłam się ręką o krzesło aby nie upaść. Och, jak ja dobrze znałam odgłos tych kroków! czyż się kiedy spodziewać mogłam, że się one znowu w mém sercu odbijać będą?

Drzwi się otworzyły i drogi, ukochany głos, zawoł do *mojéj ciotki*.

— Dzień dobry pani Werner, cóż tam słychać nowego?

— Nic zgoła, przyprowadziłam nową piastunkę, ot tę dziewczynkę.

Spuściłam twarz jeszcze niżéj. Czy mi się zdawało że była jakaś dziwna zmiana w jego głosie, gdy rzekł do żony:

— Przyjęłaś ją Marjo?

— Przyjęłam, odpowiedziała, zdaje się być chętną dziewczyną, tylko jeszcze nieśmiała.

Odetchnęłam gdy August odrzekł obojętnie.

— To dobrze i wyszedł z pokoju.

Czułam się bardzo szczęśliwą, ale za jedno nic, byłabym się we łzach rozpłynęła. Szczęściem pani odprawiła nas z warunkiem abym się jutro rano do służby stawiła. Byłam tak wzruszoną, że wychodząc słabo mi się zrobiło.

— Na miły Bóg, szepnęła Wernerowa, panuj nad sobą pani, mogą cię zobaczyć.

Te słowa sił mi dodały, zbiegłam z pośpiechem ze schodów i nie obejrzawszy się już na siebie stanęłam w salce oberży, tam, padłszy na krzesło płakałam, ach płakałam tak jakbym w téj chwili wypłakać chciała wszystkie tajone w sercu, przez te ubiegłe lat dziesięć nędze, cierpienia męczarnie!.

Mocno zaintrygowana Wernerowa stała obok mnie kiwając głową.

To się na nic nie zda, mówiła, pani się zdradzisz i mnie w wielki kłopot wprowadzisz.

Wsunęłam jéj w rękę 300 talarów przyrzekając jéj późniéj więcéj, jeśli mi tajemnicy dochowa i daremnie sobie nad odgadnieniem téj zagadki głowy suszyć nie będzie.

Zostawszy samą po gorącéj modlitwie, nieco się uspokoiłam, wiem że nic złego nie pragnę, a przecież i mnie się choć trochę szczęścia należy. Noc całą przesiedziałam w oknie, przygotowując się do roli, którą na siebie wzięłam i marząc błogo spokojnie.

Dziś rano koło ósméj pożegnałam Wernerową i z moim tłomoczkiem na plecach, udałam się do Rosenberga.

Na tarasie przed pałacykiem, ujrzałam siedzącego Augusta. To była stanowcza chwila w biały dzień przejść obok niego miałam! serce mi biło gwałtownie, szłam najniezgrabniéj w świecie i dygnęłam przed nim. Podniósł głowę schyloną nad książką i spojrzał obojętnie.

— A to ty moje dziecko, rzekł, dobrze żeś punktualną, idź na górę, pani na ciebie czeka.

Bogu niech będą dzięki! już teraz jestem spokojna, nie poznał mię! z lżejszém już sercem weszłam na górę.

Na schodach spotkałam panią, która mnie przywitała łaskawie i zaprowadziła do pokoju dziecinnego. Na małych łóżeczkach spało dwoje aniołków, czteroletni chłopczyk *Karl* dwuletnia dziewczynka *Lorchen*. W kącie pokoju za parawanem stało moje łóżko porządnie usłane, komoda i stoliczek; to było moje państwo. O! gdybym resztę dni życia mego w niém strawić mogła!

Dzień cały zszedł mi spokojnie, dzieci są śliczne i grzeczne; czuję że je bardzo kochać będę, wszak to jego dzieci! chłopczyk ma nawet te same duże, siwe, błyszczące oczy! Bawiłam je, czychając na każdy odgłos którem mnie z dołu dochodził, jakże mi serce biło radośnie, gdy mnie dolatywał głos jego!

Na obiad zeszłam z dziećmi na dół do państwa, stojąc za niemi mogłam niepostrzeżona śledzić w naprzeciw wiszącym zwierciadle każden ruch Augusta.

Teraz dopiéro przypatrzyłam mu się dokładnie. Nie wiele on się zmienił, włosy może nieco zrzadły i gdzie niegdzie posrebrzyły się, ale znalazłam w nim tenże sam wyraz siły i woli, czoło jego nie straciło tego odblasku wyższości, tego niestartego niczem piętna życia duchowego myśli wzniosłych i szczytnych.

Niestety! czemuż znalazłam w tych drogich rysach tenże sam cień smutku i zniechęcenia, któren dawniéj serce mi ściskał, czemu? Wszak on teraz szczęśliwy? siedział milczący i zadumany. Marja zajęta bardzo była usługą, kucharką i dziećmi; na smutek Augusta nie zdawała się zwracać uwagi. Resztę dnia spędziłam z dziećmi w ogrodzie. Pani siedziała na tarasie z robotą w ręku. August z książką i cygarem przechadzał się po cienistych alejach parku przybliżając się czasem do dzieci, które swemi pieszczotami rozjaśniały na chwilę ponure jego lica. Widziałam go ciągle, *czułam* blisko siebie i byłam szczęśliwą!

. . . .

Już kilka tygodni nie zaglądałam do dziennika mego, tyloletniego powiernika boleści i cierpień, ale szczęście opisać się nie da, a ja jestem szczęśliwą. Ach! dziś dopiéro widzę jak mi jego widok był potrzebny do życia! odrodziłam się, odżyłam, pod jego wpływem jestem wesołą, wszystkich ludzi kocham, wszyscy mi się dobrzy wydają.

Z początku obawiałam się, czy w tém dziwacznem położeniu, nie będzie mi zbyt trudne utrzymanie przyjacielskich stosunków z resztą służby, szczęściem z samego rodzaju moich obowiązków żyję od niéj w zupełnem odosobnieniu. Z jedną tylko Lizbetą służącą saméj pani, sprytną i zwinną niemeczką, widuje się często i staram się być z nią jak najpoufaléj. Opowiada mi wiele dobrego o saméj pani i jéj przywiązaniu do męża. Razu jednego na moje zapytanie jaki jest powód smutku i ponurości pana, rzekła mi Lizbeta:

— Eh bo widzisz, nasz pan, to poeta, tak mi pani mówiła, a poeci zawsze tacy. Czasem całą noc tłucze się jak Marek po piekle, chodząc i giestykulując po parku, inną razą zamyka się na cały dzień w swoim pokoju i pisze, a wtedy pani każe się cicho sprawować, by mu nie przeszkadzać bo pisze wiersze, które podobno potém wydaje i drukuje, a w jego kraju to je sobie wydzierają.

Ucieszyłam się tą wiadomością, że przecież szczęście i pomyślność nie zagasiły w nim tych odbłysków genjuszu, któren dawniejsze próby już zapowiadały. Jakże wdzięczną jestem téj, która odsunąwszy od niego troskę, o chléb powszedni dla poety tak zabijającą, dozwoliła rozwinąć się spokojnie całéj twórczości jego fantazji. Dziwna rzecz jednak jak ten mój drogi poeta, nauczyciel, mógł pokochać tak poziomą istotę jak Marja. Bo niestety, przekonałam się, iż niema nic mniéj idealnego, więcéj prozaicznego jak ta kobiéta. Dobre to i łagodne stworzenie, ale dla niéj światem całym jest *kuchnia!* Robić pończoszki dzieciom, dopilnować dobrego przyrządzenia nowéj potrawy i piec ciasta, zdaje się że wyższego celu nad ten, nie widzi w swem życiu; i trzeba przyznać że

go wypełnia doskonale, ale czyż takiéj towarzyszki potrzebował, lotny, wyższy umysł Augusta? Dziś rano byłam właśnie w pokoju Marji gdy wszedł August. Widać że piękny, świeży poranek wpłynął na wrażliwą duszę, gdyż wzrok jego był jasny i głos wesoły gdy przemówił do żony: „Co za ranek prześliczny, możebyś wyjechała ze mną na spacer Marjo? mam wielką ochotę skąpać skroń w balsamicznéj woni łąk i lasów.“

— Co téż ty mówisz Auguście, zawołała ze zgrozą Marja, ja bym miała jechać na spacer, kiedy kucharka właśnie mnie przywoływała, abym jéj pomogła zrobić *auflantin*.

— To go zrobisz innym razem; o jedną potrawę mniéj lub więcéj zupełnie nie stoję.

— To być nie może, obiadu za nic w świecie nie zmienię, zresztą zaraz mam odbierać bieliznę od praczki.

— Zostaw klucze Lizbecie, to za ciebie to zrobi.

— A broń Boże! nigdy dla przyjemności obowiązków nie opuszczę.

Augusta twarz się zasępiła i wyszedł ruszając ramionami. Nie, ona nie dla niego stworzona.

. . . .

Już dwa miesiące upływa od chwili mego tu przybycia, Widzę go codziennie w pobliżu niego oddycham, a jednak... O! jak niezbadaną przepaścią jest serce ludzkie, jak ciężkiém to życie! Jeśli na chwilę promyk słońca pokrzepi i rozjaśni go, to znowu ciemne, coraz ciemniejsze chmury zasępią i nawałnicą zagrożą!

Milcz biédne serce, tobie nie wolno tęsknić namiętnie, tobie nie wolno marzyć o szczęściu! Zadawalniaj twój głód okruchami które ze stołu bogacza spadają!

. . . .

On nie jest szczęśliwy!.... Uzbroiłam się w odwagę; nakazałam memu sercu znieść z radością widok jego szczęścia i miłości dla *innéj*, ale widzieć go nieszczęśliwym, niepojętym i nie módz go pocieszyć, na ten nowy rodzaj męczarni nie byłam przygotowaną; tego znieść nie potrafię!...

Dziś po południu Marja z niezbędną pończochą w ręku siedziała na tarasie. Ja z dziećmi bawiłam się na schodach do ogrodu wiodących, wieczór był prześliczny. Na krańcu parku, po za drzewami szumiącemi cicho pod wpływem wieczornego wietrzyku, widać było wody Menu połyskujące różowo od promieni zachodzącego słońca, słowik w gęstwinie miłosne rozwodził piosenki. Dzieci nawet czuły wpływ téj uroczéj chwili i cicho siedząc zapatrzyły się na kwiatki. Z jakąż lubością kąpałam skroń w tém wonném, świeżém powietrzu! W tém z pokoju wyszedł August, usiadł obok żony i uderzony pięknością przyrody nas otaczającéj, zaczął mówić z zapałem o wielkości stworzenia i potędze Stworzyciela. Mówił o życiu będącém początkiem wszystkiego, w którém wszystkie istoty znajdą się nawzajem w radości, o życiu bez którego wszystko ciemne i chore, o życiu które wszystko jednoczy i rozpromienia... o miłości. Wskazywał na nią, jak na piérwszą i ostatnią rzecz, tworzącą w każdém ziarnku, pachnącą w każdym kwiecie, będącą pięknością i światłem wszechrzeczy. Ognistym wzrokiem patrzał przed siebie, czoło jego jaśnieć się zdawało aureolą geniuszu. Słowa jego, były dźwięczne, pełne siły i wymowy. Dusza moja zawisła na jego ustach. W tém spojrzenie rzucone na żonę przerwało mu mowę; Marja zasnęła w najlepsze.

August zerwał się żywo odepchnąwszy z hałasem krzesło, żona zbudzona raptownie i nieco zawstydzona szepnęła coś o wieczerzy i wyszła, chmura gniewu osiadła na czole Augusta, szepnął do siebie po polsku:

„Przeklęta niech będzie godzina, w któréj sobie ten kamień do nogi uwiązałem!“

Mały Karolek podbiegł do niego i podał mu różę którą się bawił.

— „Biédne dziecię“ mówił ze smutnym uśmiechem, głaszcząc jasną główkę chłopięcia, baw się wesoło, póki czas jeszcze i tobie kiedyś życie ideały rozwieje i ty poznasz co to jest być samotnym bez bratniego serca, któreby razem z twoiem biło!“ i zszedł zwolna do parku Długo, długo potém widziałam go chodzącego po bocznéj ulicy z rękami na piersiach założonemi, tak był smutny, blady, ponury! O jakże pragnęłam pobiedz ku niemu. Dusza moja cała rwała się w tę stronę... Nie, ja téj męczarni nie wytrzymam długo, szczęściem czuję że dawna choroba mi się wraca, gorączka mię pali, kaszel piersi rozrywa, ach gdyby tu umrzeć przy jego boku!

. . . .

Onegdaj Marja wyjechała na trzy dni do Moguncji do swéj ciotki, August odprowadził ją do Frankfurtu zkąd nazajutrz dopiéro miał wrócić.

Wieczorem położywszy spać dzieci, zeszłam do salonu.

Zbolała dusza moja chciała w muzyce szukać chwilowéj ulgi. Byłam pewną że mnie nikt nie usłyszy. Lizbeta pojechała z panią, reszta sług mieszkająca na drugiéj stronie w entresolach dawno już spoczywać musiała. Księżyc świécił nadzwyczaj jasno, otworzyłam fortepian i z boleścią wydobywać zaczęłam dawno już niesłyszane tony. Dość długo tak grać musiałam zamarzona, zachwycona, gdy nagle głos którego dźwięk ukochany przeniknął mi serce zawołał:

— Heleno! (*d. n*)

UBIORY GEORGIAŃSKIE.

Georgianki uchodzą za najpiękniejsze kobiéty w świecie, mają tę piękność spokojną, któréj Grecja pozostawiła typ nieśmiertelny, a ubiór ich jest z tym posągowym spokojem w doskonałéj harmonji. Podczas kiedy w Paryżu sadzą się na coraz dziwaczniejsze w kroju sukien i ich ozdobach pomysły, tu prawie niema odmiany; tam jakaś niespokojność zalotna, żeby się podobać, żeby się lepiéj wydać niż w istocie, wabić oko nieustanną szat zmiennością, tu jednostajność z pewności siebie wypływająca, ubiór też jest tylko prostą lubo umiejętnie zarzuconą draperją na arcydzieło natury.

Nad czołem noszą georgianki opaskę świetnego koloru która jak korona wieńczy głowę zwykle nieskażonych kształtów. Od niéj idzie welon, którego jeden róg zgrabnie pod brodę zachodzi. Pasek z jaskrawéj wstążki otacza ich smukłą kibić i na przód sukni spada. Wychodząc na ulicę, obwijają się z wdziękiem w przejrzystą, białą zasłonę.

Mężczyzni zdają się je przewyższać w zamiłowaniu wykwintnego stroju; na bogatszych ubiór kapie od złota i srebra, jaskrawemi kolorami się mieni. A miny ich butne, pańskie i rycerskie zarazem gdy dłoń spocznie na zbroi, któréj stal hartowna, wyrównywa cennością drogim kamieniom co u rękojeści błyszczą. Lubią namiętnie konie i nic dziwnego, tak im pięknie gdy na nich dzielnie harcują.



LISTY Z PODRÓŻY.

V.



Paryż i jego mieszkańcy.— Sposób robienia karjery.— Francuzi są narodem teatralnym.— Dentysta uliczny.— Zęby po pięć franków i drogie zęby.—Podobieństwo wielkich magazynów paryzkich do warszawskich z za Żelaznéj bramy — Odzwierny tyran.— Przymioty nieocenione należycie naszych stróżów warszawskich.— Tkliwe córki wychowane w klasztorze.— Teatra paryzkie.— Pracowitość francuzów.— Kwestja służących.— Rozdrażnienie ubogich przeciw zbytkującym.— Szlachetne popędy ludu.— Kobiéty w kantorach.— Czego się uczyć od francuzów?

stolicy Francyi i jéj mieszkańcach wiele jest do powiedzenia, wstrzymałam się też z tą korespondencją, aby o ile możności bez uprzedzenia wyjawić zdanie moje. Po półroczném przeszło pobycie w tém mieście, zdaje mi się że mam już o niém niejakie pojęcia, które pod wasz sąd czytelnicy Kółka poddać pragnę.

Piérwsze wrażenie jakie na mnie uczynił Paryż było tęskne. Więcéj nawet powiem— przykre. Te ulice milowéj długości, te domy piętrzące się wysoko jakby w nieustającéj rywalizacji żeby prześcignąć sąsiada, te niezliczone tłumy ludzi mijających się obojętnie, ciekawie lub szyderczo, ścisnęły mi serce jakiemś sieroctwa uczuciem! Ach! tu być rzuconym samemu nie mając téj pociechy żeby gdzie wśród tych murów bez końca, czekało nas kochające serce i progi gościnne na których powita dłoń bratnia, to myśl okropna, która pierś zwątpieniem uciska. Tu prąd życia egoistyczny, niecierpliwy, wrzący, hulaszczy, przepływa ciągle dniem i nocą, wybitne w nim biesiadne śpiewy wesołych, lecz smutnych jęk, lecz z rozpaczonych łzy, pochłonięte bez śladu w téj przepaści.

Zrazu tedy myśląc, że mię wszyscy potrącać będą, zgniotą w końcu jak mizernego owada, przyszłam nareszcie potrochu do tego prostego pewnika, że siłę należy przeciwstawić sile i *nie dać się zjeść w kaszy*, jak to u nas mówią. Więc też i poczęłam sobie dawać radę i przestał mnie przerażać ogrom i nie tak strasznemi wydawać się tłumy. Zwłaszcza, że wyznać należy, francuz jest z natury grzeczny. Kiedy w Niemczech i Belgji spotykałam uprzejmych objaśniaczy, którzy natychmiast upominali się o zapłatę, tu każdy zapytany na ulicy, choćby się nawet śpieszył, odpowie z najwytworniejszą grzecznością i prawie zawsze objaśni rzecz roztropnie, co nieraz mnie przyjemnie zdziwiło słyszane z ust robotnika lub wcale nie wykwintnie przybranéj kobieciny. Otóż raz zacząwszy dawać sobie śmiało radę, zobaczyłam że Paryż piękny. Lecz nie myślcie znowu że wszędzie i na każdym pięknym punkcie. Są w starych dzielnicach uliczki tak wązkie, że promienie słońca zaledwie do ich poddaszów dochodzą, z ludnością tak wybladłą i dziko patrzącą że przypomina ustępy *z Tajemnic Paryża.* Lecz o to młoty i oskardy grają nieustając swój koncert zniszczenia, którym dyryguje znany prefekt miasta Hausman, przecinają się luki w gąszczu starych domostw, otwierają się przewiewy dla cuchnących zaułków i powoli w chaosie gruzów pokazuje się wyświeżony nowy Paryż, całemi liniami metodycznie stawianych domów, utrzymanych w karności przepisów co do ilości piętr, ganeczków, ozdób i t. p. zupełnie jak szeregi wielkiéj armji. Ale to nie to jest jeszcze pięknym Paryżem, trzeba go szukać koło starych kościołów, co wyobrażenia wieków w sobie streściły: koło tego Luwru tak wspaniałego jak potężna niegdyś monarchia, na placach gdzie świeżych zwycięztw pomniki, nad brzegami Sekwany ujętéj w swych brzegach ramą kamienną, którą rozliczne a kształtne spajają mosty. Więc kiedy jeszcze przy sztuczném w wieczór oświetleniu, przemysł wdzięczy się w oknach sklepów, artystycznie przedstawionemi wyrobami swemi, kiedy jaśnieją napisy wśród szkieł kolorowych kwiatami i klejnotami przeplatane, a w dali wieża ciemna się rysuje na sposępniałym błękicie, lub rzeka szepce cichuteńko jak stara zrzęda na wiecznie młode miasto, tego lubego pieszczocha swego, którego licznemi oplata ramiony, to wędrowiec w zdumieniu woła: piękne miasto, piękne jak przepyszna dekoracja do wielkiéj opery! I nic bardziéj stosowniejszego nad to porównanie. Wielka tu się odgrywa opera, do któréj chórzyści z całego przybywają świata, albo raczéj wielki

dramat w którym występuje wszystko: olbrzymie zbrodnie i cnoty niezrównane, rozuzdane szaty wesela i ponure kiry rozpaczy. Idź do *Morgi* (*) ile ich tam wydobytych z wody, zdjętych ze stryczka, zgasłych w nieznanym zakącie u wstępu w życie, lub u jego kresu, z głodu może, przez zbrodnię często, z boleści duszy lub ciała najpewniéj. Biegnij na bal, opery lub inne, jak tam chichoczą, szaleją, jak nie myślą o jutrze i dnia wczorajszego zapomnieli, a życie zda im się czarą rozkoszną, którąby radzi do ostatniéj wychylić kropli. Zajrzyj do rodziny robotnika, jak on sam, żona dzieci ciężko pracują na chléb tak drogi, spojrzyj na wielką damę jak próżnuje rozkosznie, jak nieopatrznie rzuca pieniądze, jakie ma jedwabie, kaszmiry, perły! Kiedy paryżanin się bawi to całą duszą, kiedy klnie to z pełnéj piersi, gdy śpiewa wesół to go powtarzają echa dalekie, a gdy się rozgniewa to bruki ulic swoich paznokciami wysadzić gotów w potrzebie. W bluźnierstwie wszystkich przewyższa, o modlitwie jego nie wiele powiedziéć umiem, spotykałem bowiem u nich religią, którą możnaby zwać raczéj opinią niż wiarą. Temu, czego dowodzić będą aż do zapamiętałości (bo ich miłość własna trudno znosi wyznanie że są pobici) zaprzeczają potem każdym postępkiem swoim. Zdarzało mi się słyszéć dowodzenia uporczywe, w których zupełny brak przekonania przebijał, a kiedy potém zwracałam uwagę że uczynki nie szły w ślad za głoszonemi zasadami, uśmiechano się z mojéj naiwności: „Czegoż pan popierasz aż do ochrypnięcia rzeczy, które w gruncie sam lekceważysz.“ Bo one być powinny, bo je uświęciły czas i obyczaje,— „a to co innego.“

Cóż sądzicie szanowni czytelnicy o sile tych zasad, które są w wymowie a nie w przekonaniu?

Gdy dzienniki wydrukowały encyklikę papieża, jeden kończący nauki prawnik, powiedział mi o swoim koledze: „Pan G. zrobił rzecz bardzo roztropną, posłał pęk różnych dzienników z encykliką na swoją prowincję gdzie są bardzo pobożni.“—Dla czegoż to pan zwiesz postępkiem roztropnym?“ — Bo on w tamtéj okolicy będzie adwokatem, a z poparciem księży można łatwo zrobić karjerę, więc się im zarekomenduje.“— Tak to, odparłam, encyklika przyda się panu G. do zrobienia karjery?“ „O! niezaprzeczenie, odpowiedział mi, niedostrzegając szyderstwa w moim głosie. Wyznanie uwielbienia dla Rzymskiéj stolicy gdzie księża są silni, a nieśmiertelne zasady z 1789 roku, gdzie demokraci przeważają, oto dwa doskonałe środki dla chcących dojść wysoko.“ „A więc to wszystko są tylko sposobiki do zbudowania osobistéj fortuny, zawołałam z oburzeniem; ubogaż to ta młodość wasza moi panowie, jeżeli was na silniejsze nie stać przekonania—i mówiłam długo wspominając z chlubą swoich, aż nareszcie mój francuz porzucił swój uśmiech sceptyczny z którym się dotąd o wszystkiém wyrażał i jakby zawstydzony, tłomaczyć się zaczął, że i u nich tak źle nie jest.

Francuzi są narodem teatralnym, powiedział, jeden z ich znakomitych pisarzy i ja znajduje, że miał słuszność. W ich mowie, w ich tak zwanéj galanterji, jest często jakaś aktorska pretensyjka, na ulicy lada handlarz, to wielki komedjant usiłujący swój towar w jak najlepszém przedstawić świetle. Cóż zabawniejszego nad owych dentystów brukowych, co rzemiosło swoje prowadzą na rogach placów, zawsze otoczeni tłumem widzów wśród których znajdują się często pacienci powolni. Ale bo ten człowieczek ruchliwy, wymowny, opatrzony paczką niewielką z narzędziami, rwie zęby tak tanio i z takim efektem, że bierze sprobować ochota; czy téż to prawda co on zaręcza, że wystrzałem z pistoletu bólu cię pozbawi raz na zawsze? Więc zbliża się jeden z otaczających, na zęby swe narzekając. Rozważnie z natężoną uwagą odbywa przegląd jego szczęk obu, doktór wymowny; nagle odwraca się krzywiąc: „co za gęba cuchnąca, woła, jakie zaniedbane zęby, ale ja tu zrobię porządek.“ I poszukawszy cierpiącego zęba wyrywa go instrumentem, który zarazem wydaje huk do wystrzału z pistoletu podobny. Wśród tego huku trudno dosłyszeć krzyku pacienta, zwłaszcza że mu dentysta czasu na to nie daje, każe usta płukać i całuje je zachwycony: „Otóż teraz, patrzcie panowie, co za oddech przyjemny, jak te zęby już nigdy próchnieć nie będą, co za miła przemiana téj gęby, przed chwilą wstręt budzącéj, ach! niech cię raz jeszcze ucałuję!..

Za temi dentystami ludu są drudzy nieco wykwintniejsi, a więc drożsi, przytem wprawiają już sztuczne zęby. *Dents pour cinq francs* (zęby po pięć franków) to napis, który się często na ścianach różnych domów spotyka. Ale ci co już najpiękniejsze wprawiają zęby, to już panowie nietylko krociowi ale milionowi, otoczeni największym przepychem. Na miarę jak sobie płacić każą, niech służy proces następujący: Pewna pani mając przednie zęby zepsute, udała się do sławnego dentysty ażeby je zaplombował. Trzeba było się zapisać na listę pożądanéj godziny posłuchania, wysiadywać w złocistych salonach, aż nareszcie po tygodniu czy dwóch, wielki człowiek raczył cztery zęby zaplombować i za tę sztukę zażądał 600 franków. Pacientka która odłożyła na ten cel 200 franków, co jéj się już niemałą kwotą wydało, ani chciała słyszeć o zapłaceniu summy tak wielkiéj i rozpoczął się proces. Zdawałoby się, że sprawa głównie to-

(*) *La Morgue* budynek nad Sekwaną po za kościołem *Notre Dame*, gdzie znoszą wszystkie ciała ludzi niewiadomych z nazwiska i wystawiają na widok publiczny, żeby kto poznawszy, wiadomości o nich udzielił.

czyć się powinna, czy ta robota warta była lub nie takiéj zapłaty, ale adwokaci stron obydwóch nie mało wyszafowali frazesów, zanim przyszło do ostatecznego załatwienia. „Zważcie panowie, wołał obrońca dentysty, że zęby pani X są jakby zdrowe zupełnie, więc oceniajcie robotę nie w jéj mechaniczném znaczeniu, ale w skutkach jakie sprawia. A dać kobiécie piękność zębów, to więcéj jak naszyjnik pereł najkosztowniejszych, to klejnoty których nigdy dosyć drogo opłacić nie można.... Skończyło się na tém że owa pani zapłaciła 400 fr. za zęby, które teraz słusznie swemi *drogiemi* zębami nazywa *(mes cheres dents)*.

Patrząc na tutejszych kupców przypominałam sobie z przyjemnością jak nasi daleko lepiéj swą godność zachować umieją. Niema w Warszawie w porządnych sklepach tego natrętnego zachwalania towarów, tych pochlebstw niecierpliwiących rozsądnego człowieka, któremi francuzi zasypują kupujących. Towar zaś, tak jak umiejętnie rozstawiają go za oknami, tak go zręcznie przedstawiają kupującym, zachęcając, nakłaniając, radząc z dobréj sposobności korzystać. Raz weszłam do wielkiego magazynu Luwru (*) żądając widzieć suknie gotowe, lecz w piérwszym zaraz oddziale napastowano mnie aby kupić *za bezcen* pończochy, odpowiadam, że chcę sukni i idę daléj, aż tu znowu głos woła do mnie z boku: pani racz spojrzeć na moje tanie spódnice, w całym Paryżu nie znajdzie tak pięknych za tę cenę. Ja jednak znowu odpowiadam nieczuła: chcę sukien gotowych. Zachwalano mi jeszcze parasolki, rękawiczki, firanki, aż nareszcie do sukien trafiłam, przypominając sobie sklepy naszych małych miasteczek, gdzie tak przechodzącego natarczywie wzywają, gdzie go nawet ciągną za łokcie, zapewniając że wszystkiego dostanie, w końcu zaś pokazuje się, że właśnie tego niema czego chciał. Wprawdzie ten brak nie zdarzy się w wielkich magazynach paryzkich, w których jest wszystko czego zapragnąć można, ale reszta zupełnie podobna.

Słyszałam zawsze pochwały paryzkich odźwiernych i wyznaję, że trzymanie ich po domach niezmiernie uszczęśliwia przybywających szukać kogo na jednem z sześciu piętr domu. (Przytem numeracja domów wybornie urządzona, numera duże i wyraźne, parzyste po jednéj stronie nieparzyste po drugiéj, na każdéj ulicy zaczyna się od piérwszego choć mimo to do 300 i do 400 czasem dochodzi, z tych wszystkich przyczyn daleko łatwiéj odszukać znajomego w tém ogromném mieście, wśród blisko dwumilionowéj ludności, niż w naszéj Warszawie, która dwakroćstotysięcy nie liczy). Wyznawszy tedy że jest bardzo dogodnie mieć odźwiernego w domu w którym się mieszka, dodajmy zarazem, że tu ludzie zepsuli instytucję, bo francuzki *concierge*, to tyran całego domu, to jego dyktator, choć się w najskromniejszym zakącie przyczaił. Paryzkie trybunały są zarzucone sprawami z grubijańskiemi lub zbyt wymagającemi odźwiernemi, a często przy nich i biédny właściciel oberwie płacąc karę pieniężną za winy nie swoje, jak to było niedawno gdy pewni państwo, którzy nie mieli szczęścia być w łaskach odźwiernego, wrócili raz koło drugiéj w nocy do swego domu z wycieczki na wieś. Po długiem dzwonieniu i pukaniu, zawezwali policjanta *(sergent de ville)* który powtórzywszy dzwonienie równie nadaremno, bo pan odzwierny miał postanowienie stałe i nieodmienne żeby nie otworzyć, zapisał numer domu a lokatorów od własnego mieszkania odepchniętych, zawezwał aby poszli nocować do hotelu, którego koszta zwrócone im będą. Na drugi dzień zaraz władza uwiadomiona przez *sergent de ville* rozpoczęła proces, który się prędko ukończył, z zupełnym naturalnie tryumfem lokatorów wynagrodzeniem kosztów i wygnaniem odzwiernego, który poszedł do kozy. Zobaczmy teraz co trzeba czynić żeby mieć łaskę odzwiernego lub odzwiernéj. Oto dawać ciągłe podarunki. Dostarczają ci wino w znacznéj ilości, zaraz parę butelek zostać powinno w pokoiku odzwiernego zwanym tu *loge*. Niesie węglarz węgle, natychmiast część ich usypać powinien dla p. odzwiernej. Nie mówi się o kolędzie, która tu jest tak obowiązkowa jak zasługi. Gdy tedy jesteś oszczędny i to nawet z potrzeby, jak się często zdarza na tym biédnym świecie, gdy nie dajesz ciągłego podatku, ale tylko raz na rok kolędę, to ona jest przyjmowana z lekceważeniem, zaczynają się drobne prześladowania, twojemu przyjacielowi odpowiedzą że cię niema w domu, chociaż na niego czekasz, listy z poczty zaginą, niegrzeczność i grubijaństwo spotka cię na każdym kroku. Ztąd miarkować można że odzwierny jest nieprzyjacielem rodzin cnotliwych i pracowitych; lubi hulaków i rozrzutników, którzy grosza nie rachują, rad wdzierać się w tajemnice, żeby mu za ich zachowanie opłacono i chętnie dopomaga do rozdwojenia męża z żoną. Ma się rozumiéć że zacne wyjątki być muszą, ale ja tu powtarzam com słyszała, dodając, żem przy téj okoliczności wspomniała z rozczuleniem naszych poczciwych Mateuszów i Wojciechów, których słuszne oburzenia za sen często przez dzwoniących do bramy niepokojony, bardzo łatwo złotóweczką, a nawet czasem dziesiąteczką ukoić można.

Lecz kiedy najbardziéj uderzyła mnie wyższość naszego społeczeństwa nad tutejszém, to przypatrując się życiu rodzinnemu. Są i tutaj rodziny wzorowe, ale stosunkowo mała ich liczba. Daleko mniéj tutaj, tego nieustającego poświęcenia się matek, téj gorącéj miłości dzieci, niż u nas dopatrzysz. Matki paryzkie, mówiąc w ogólności, nie karmią i nie wychowują swych dzieci, ztąd wyradza się między niemi stosu-

(*) Za sam lokal na ten magazyn płacą rocznie sto tysięcy franków.

nek chłodniejszy. Panienki na pensji, najczęściéj klasztornéj, czekają czasu pójścia za mąż, mama tymczasem bawi się, stroi, tańczy i zwykle rada, że nie widzą obok niéj dzieci, któreby jéj wiek zdradzały. Ztąd też rozmowa taka jaką przytoczę, a która nie przypuszczam aby w naszéj rodzinie miała kiedy miejsce, tutaj zupełnie nierazi i matka sama mi ją opowiadała: „Mamo, mówiła raz córka, która przyszła wraz z siostrą z klasztoru, na Niedzielę do matki i była przytomną ubieraniu się tejże, zostawisz mi po sobie kolczyki.“ „A mnie tę bransoletkę,“ zawołała druga. „No dobrze, odparła starsza, ty wezmiesz bransoletkę, ale mamo, pamiętaj napisać to w testamencie żebyśmy się niepokłóciły po twojéj śmierci.“

Teatra paryzkie nietylko nie są moralizującemi lecz śmiało demoralizującemi nazwaćby je można. Dyrekcja każdego teatru musi przedewszystkiem robić dobre interesa pieniężne, więc aby przynęcić tłumy, schlebia się często ich najnikczemniejszym popędom. Jednak to bywa trucizna zawsze podana w cukierku, albo raczéj w bukiecie kwiatków, bo co to za muzyka! jaka wystawa wspaniała, efekta światła, artyzm dekoracji, wdzięk draperji na tych kobiétach zaledwie odzianych!...... Wprawdzie grywane także bywają sztuki z celem wysoce moralnym, ale te wyglądają tutaj jak specjalne morały ojca, który dzieci swoje wciąż najgorszemi otacza przykładami. Tak np. bardzo uczęszczana teraz komedja pana Sardou p. t. *Starzy kawalerowie* jest tylko perorą, dość nawet miejscami nudną, mającą niby do małżeństwa zachęcić. Podniesiona grą wyborną, przepysznym strojem ładnych aktorek, więcéj przyniesie korzyści dyrektorowi teatru *Gymnase*, który ceny miejsc widząc jéj powodzenie podwyższył, niż moralności któréj ma służyć. Tutaj cały prąd życia jest apoteozą płochości i wstrętu do obowiązków jakie wkłada rodzina, zkądże się potém można spodziewać aby jedna sztuka teatralna, dała od razu przekonanie sceptycznemu, jeżeli nie do gruntu zepsutemu społeczeństwu, że te obowiązki są nietylko wędzidłem, nie jarzmem trudném do dźwigania, ale siłą, podporą, rzetelniejszych rozkoszy źródłem.

I to tylko parę teatrów ma przywiléj sztuk tak budującéj treści. Kiedy zatém na jednym gadają poważne morały, tuż obok na drugim, nie szanują wstydu jakby na pokazanie, że moralność jest tylko rzeczą konwencjonalną, barwą, którą tylko owa kotorja przybierać winna. Ztąd też panie jednego świata towarzyskiego bywają tylko na pewnych teatrach, na drugich zaś nie bywają wcale, gdyż im wypada zasady moralności wyznawać *głośno*, a znów panie innego świata, nie żenują się bywać wszędzie, bo im własnie zupełna swoboda pod tym względem przystoi, teatra zaś gdzie bywają klassy mniéj ukształcone, na któreby właśnie dobre mógł zrobić wrażenie, wymownie wypowiedziany wstręt do złego, lub przykład podnoszący moralną godność człowieka, bynajmniéj się oto nie troszczą. Trzeba przedewszystkiem żeby się ludek śmiał i bił poklaski, to wróci jeszcze raz drugi i trzeci i kassa będzie pełna. Teatra są tylko przemysłowym przedsiębierstwem, tém lepszém o ile więcéj przyniesie.

Strona estetyczna życia bardzo tu wykształcona, francuzi odznaczają się tak zwaną elegancją, lada ubogie mieszkanie, byle się w niém tylko nie rozgospodarowała nędza, będzie czyste i milutkie jak cacko. Prawda, że tu o marmur nie trudno, obicia, lustra, dywany, znacznie tańsze niż u nas, więc téż i łatwiéj każdy ich sobie pozwolić może. Ale na cóżby się zdały te ozdoby, gdyby wśród nich nie panowała czystość wykwintna, a dla jéj utrzymania nikt się tu nie leni jak u nas, służba zaś droga i wiele jest rodzin co innéj służącéj nad przychodnią nie mają. W dzień który jest naznaczony w tygodniu na przyjęcie gości, przychodzi od rana kucharka lub lokaj dla otwierania drzwi; przez inne dnie wszyscy dają sobie sami radę, prawda też że tutaj gospodarstwo jest niezmiernie ułatwione, przez to że ze sklepów żywności, dostarczają wszystkiego do domu, a wszystko po części już przygotowane do użycia. Drób oskubany, kotlety przyrządzone do smażenia, bewsztyk pokrajany w kawałki. Przedają nawet i szpinak siekany, lecz wyznaję, że mi się to niepodobało. Drożyzna żywności szczególniéj mięsa wielka; mięso wołowe pieczeniowe bez kości po 3 zł. polskie wynosi funt, nieco wprawdzie od naszego większy. Ztąd też ciężko pracować musi ubogi aby na utrzymanie zarobić. A jak umieją gorliwie pracować francuzi nawet z klassy zamożniejszéj, to doprawdy wzór z nich brać można. Są zwykle zajęci dzień cały, małą chwilę czasu obracając na śniadanie, a dopiéro po obiedzie o szóstéj lub siódméj godzinie wieczór, odpoczywają. Z początku nie podobał mi się ten obiad późny, jako moim nawyknieniom przeciwny, dziś widzę, że nie można było lepszéj ustanowić godziny dla ludzi chcących dużo przez dzień zrobić. My jedząc obiad w połowie dnia, marnujemy sobie kilka godzin najstosowniejszych do pracy. Zjadłszy, trzebaż pogadać, odpocząć, a tymczasem czas upływa niepowrotnie.

Jedna rzecz jeszcze zwróciła moją uwagę, że tu panie w większéj karności niż u nas trzymają swe służące, nie żeby się z niemi ostro obchodzić miały, ale nie dozwalają na żadne zaniedbanie w obowiązkach. Służąca zaś rozumie, że kiedy pani ma względem niéj zobowiązania których dotrzymać winna, to i ona również swoje dopełnić musi. Zresztą jest łatwość zmiany, służących obojéj płci pełno, a prawo wymaga tylko żeby uwiadomić na tydzień przedtém. Więc tu się nie spotyka tak

jak u nas tych pań znoszących tyranję swych sług nie przez dobroć, a przez niedołęztwo przez obawę obmowy, która i tak dostaje się zwykle słabym, od zepsutych kucharek i młodszych, tak dobrze jak tym, które im się opuszczać nie dozwalają. Tutaj téż znajduję, że służące mają więcéj poczucia prawdziwéj godności, robią co do nich należy sumienniéj, w ubiorze świątecznym skromniejsze, na codzień jednak porządniéj od naszych ubrane, nie używają kapeluszy i w wymysłach mody uporczywie pań nie naśladują. Że w Paryżu w ubiorach i mieszkaniach przepych wielki, nic dziwnego, kraj jest bogaty, ma fabryki liczne i zużywa część wyrobów swego przemysłu, które się na cały świat rozchodzą. Lecz obok zbytkujących, iluż tu takich którym na najpiérwsze braknie potrzeby. Ztąd pewna fermentacja w myśli ubogiego przeciw bogatym, są dzielnice w których człowiek elegancko ubrany przejść nie może, żeby co nie oberwał od mieszkających tam wyrobników, a w czasie uroczystości oprowadzenia tłustych wołów karnawału, kręci się zawsze gromadka chłopców w bluzach, która płata figle *surdutowym* za to, że szczęśliwsi i mają surduty. Bezwstydny zbytek pewnego świata *demi monde*, jak go tu nazywają, drażni także niewymownie francuzkiego bluzistę, którego żona ciężko razem z nim na utrzymanie pracować musi; nie traci też nigdy sposobności zrobienia afrontu niektórym *damom*, przez co zdarzają się bójki z ich obrońcami, które policji wiele dają do czynienia. Trzeba też wiele czujności i taktu do utrzymania w ładzie téj ludności łatwo wzburzonéj. Rzecz główna aby jéj nie bronić wygadać się, śpiewać i krzyczeć. Znajdzie się też w niéj i zapał szlachetny i natychmiastowy poklask dla pięknego czynu, lub dosadne oburzenie na niesprawiedliwość. Lecz ta cała klassa przemysłowców, która ma tylko na celu zysk, która patrzy na cudzoziemca jako na łup sobie do wyzyskania oddany, wstrętne budzi uczucia. W hotelach niema tak porządnéj jak w Niemczech taryffy, gdzie podróżny odrazu obliczyć może jakie będą jego wydatki, tu wszystko jest dowolne. Z początku nie mówią o wszystkiém, żeby nie przerażać, potém następują małe niespodzianki; płać jeszcze to, płać owo, a wszystko nader milutkim powiedziane głosem pospolicie przez kobiéty, które tu zwykle w handlowych domach utrzymują rachunki i są kasjerami przy żelaznych drogach. Jednak to używanie ich po sklepach niema celów tak szlachetnych jakby sądzić można z pozoru. W kraju w którym wpływ kobiét z jego strony najhaniebniejszéj, tak był przeważny w historji, budują na nim także wiele co do zysków handlowych. Dla tego starają się do sklepów o kobiéty powabne, któreby podając jaki przedmiot, najsłodszym, najzalotniejszym uśmiechem, umiały kazać zapomnieć o cenie jego wysokiéj. Ztąd téż jeżeli się zobaczy przy kantorach kobiéty nie młode i szpetne, to pewno właścicielki magazynu albo ich córki. „Pani, bardzo żałuję, lecz pani jesteś już za stara odpowiadał raz pewien handlujący kobiécie, która prosiła o pomieszczenie jéj w sklepie przy sprzedaży. A jednak ta kobiéta miała lat 25, tylko że zmartwienia i łzy twarz jéj zbledziły i przygasiły oczy, tak że przemysłowiec od razu zmiarkował, ze nie będą miały tych lśniących spojrzeń, co są bardziéj od wszelkich jedwabnych i złotych towarów do magazynu przynętą.

Te zajęcia handlowe kobiét przy małém wykształceniu moralném, budzą w nich chciwość, która na mnie przykre robi wrażenie. Patrzéć na kobiétę młodą, któréj najwyższym życia celem jest jak największy zarobek, boleśnie razi, zwłaszcza przez wzgląd, że z tego wynika wszelkich szlachetnych uczuć potrącenie. Gdy ojciec i matka ciągle tylko za zyskiem gonią i dzieci patrzą na ich szczęście, dnia tego, gdy najwięcéj pieniędzy do kieszeni ściągnęli, któż im powié, że lepiéj stracić sto i tysiąc franków, niż wyrzec się jednéj uczciwéj zasady, lepiéj zostać ubogim a czystym na sumieniu?... O! lepiéj stokroć, lepiéj u nas, że cywilizacja tego nie wzięła kierunku i że patrząc na drugich usterki, można ich będzie przy własném rozwinięciu uniknąć.

Pomimo że z pomocą doskonałych wykładów publicznych łatwość kształcenia jest wielka, kobiéty się tu mało uczą. Niskie wykształcenie elementarne nie daje im czuć pragnień wyższego światła, a życie *wesołe* chłonie ich tyle!... to życie co przychodzi do nich w złudnym blasku rozkoszy, wykwintu, uciech zaledwie marzonych, a po za opony ze złota i jedwabiu, kryje swe straszne słowo ostatnie: *poniewierka.* I zwykle kosa śmierci wcześnie podcina te biédne kwiaty skalane. Dopiéro po różnych anegdotkach które mnie tu doszły, pojęłam dla czego pani Hoffmanowa tak się oświadczyła przeciw pensjom żeńskim, po zwiedzeniu zakładu w St. Denis. Ja patrząc na wychowanie dziewcząt po naszych pensjach, nigdy tego zdania dzielić nie mogłam. Tutaj professorowie z katedr zarzucają kobiétom brak poczucia obowiązków obywatelskich, brak rzetelnego patriotyzmu i niestety! smutne to dla narodu, jeżeli one są tylko powabnemi strojnisiami.

Jakkolwiek miłość własna francuzów posunięta często do najśmieszniejszego uwielbienia siebie nas razi, jednak by nam wcale nie zaszkodziło, nauczyć się cenić wszystko co swoje, tak jak oni. Są przytém tyle uprzejmi, dowcipni, żywi, że ich nam polubić łatwo; dnie płyną z niemi jakoś wesoło i potoczysto. Więc chętnie wśród nich pozostaje ten z pomiędzy nas, co stoi tylko o to, aby mu jak najswobodniéj upłynęło życie, lecz kto ma poczucie

świętych jego obowiązków i wielką miłość w sercu pałającą, ten z rozkoszą wraca do swych kątów rodzinnych, gdzie nie tak strojno, a jednak bardziéj świąteczno, gdyż bojaźń Boża w sercach, hoduje wielkich cnót materjały.

J. Śmigielska.

SCHUBART I WSPÓŁCZEŚNI.

ROMANS HISTORYCZNY NAPISAŁ A. E. BRACHVOGEL

(Streszczony z niemieckiego przez Józefę Śmigielską.)

(Dalszy ciąg.)

— Jest już, odpowiedział tenże, oddając ukłon wojskowy. Książe skłonił się w milczeniu i szedł daléj, a Röder pokiwał głową domyślając się jakiéjś strasznej niespodzianki. W głównéj bramie przyjął księcia jenerał Rieger komendant twierdzy, Butlar zaś pośpieszył z jakimś rozkazem do bramy zewnętrznéj. Nie zatrzymując się książe szedł daléj, aż do pałacu komendantury, tam przystanęła lektyka i Karol dopomógł wysiąść żonie, którą powitała pocałowaniem ręki jenerałowa Rieger i poprowadziła do umyślnie urządzonych w pałacu dla księcia salonów. Widok z okien rozciągał się na całe wnętrze twierdzy. Tam czekała dostojnych gości przekąska.

Franciszka zacierając zziębłe ręce, spojrzała przez okno.

— Cóż tu dzisiaj tak cicho, rzekła, jakby wszyscy wymarli. Nie przesunie się nawet żaden urzędnik lub wojskowy. To mi się dziwném wydaje. I spojrzała pytająco na obecnych.

Jenerałowa spuściła oczy, książe się odwrócił, Rieger tylko stojący przy drzwiach z urzędową miną odezwał się:

— Jest to próba karności wojskowéj, manewr w razie wojny przydatny, który ja dla wprawy parę razy do roku tutaj nakazuję.

— Tego nic nie rozumiem, odparła z uśmiechem Franciszka, widzę tylko, że się ogólném milczeniem wyraża: Chodź pani jenerałowo, rozpowiadaj mi o twoich dzieciach.

Röder przyłączył się do rozmowy kobiét, książe pił szklankę wina przechadzając się w milczeniu. Otworzyły się drzwi, wszedł oficer niższego stopnia, zameldował coś Riegerowi cichym głosem, ten dawszy znak ręką, otworzył drzwi szklanne salonu, książe wyszedł zaraz przez nie na ganek.

Gdy się to działo, na kamienistéj ścieżce prowadzącéj do twierdzy, postępował wybladły Schubart eskortowany przez huzarów. Gdy wszedł, zapadła się za nim z trzaskiem dębowa brama, jakby dzieląc jego życie na dwie połowy, z których jedna światłem, a druga ciemnością zwać się miała. Tyle już napłakał się, najęczał i rozpaczał, że był teraz jakby zdrętwiały. Na odwachu kowal forteczny zakuł go w kajdany i wtedy dopiéro każdemu uderzeniu młota odpowiedział krzykiem boleści. Następnie prowadzono go daléj, a gdy już na placu twierdzy się pokazał, Karol rzekł do Franciszki rozmawiającéj z jenerałową, proszę cię moja kochana wyjdź na chwilkę. I podał jéj rękę, ku balkonowi kierując.

Wtedy właśnie wlokąc z ciężkością kajdany swoje, przechodził Schubart śmiertelnie blady z rozczochranym włosem. Podniósł w górę wzrok obłąkany i poznając księcia i jego żonę zawołał:

— Łaski, dla miłości sprawiedliwego Boga, łaski! moja żona, moje dzieci!.... Wzniósł ręce do góry. Spojrzawszy na Franciszkę domyślił się dopiéro za co go karzą, przeczuł że jest zgubiony. Franciszka krzyknęła i cofnęła się w tył. Nogi drżały pod nią, śmiertelny chłód ścisnął piersi, trzymając się mocno poręczy żeby nie upaść, zwróciła chłodny, przeszywający wzrok na męża i pozostała pozornie spokojna.

Książe gorzko się uśmiechnął.

— Jenerale Rieger, rzekł, oddaję ci tego delikwenta jako pamflecistę, ateistę i winnego obrazy majestatu, na dożywotnie najsroższe więzienie w ciemności o chlebie i wodzie.

Piersi Schubarta żadnego dźwięku nie wydały, był bowiem bliski omdlenia. Żołnierze bronią go podparli i prowadzili daléj, w głąb twierdzy, aż do osamotnionéj na wpółzruinowanéj wieży, któréj żelazne drzwi z łoskotem się rozwarły. Kazano więźniowi zejść kilka schodów na dół, gdzie mu łańcuchy zdjęto. Otwarły się drzwi jakiejś ciemnicy, z któréj przerażająca woń zgnilizny i wilgoci zionęła i Schubart z dzikim uśmiechem przez żołnierzy popchnięty, padł na słomę rozłożoną dla niego w téj ciasnéj izdebce. To był Aschenberg przepowiedziany przez jasnowidzącą, sprawdziły się więc straszne sny jego.

. . . .

Hrabina Franciszka opanowawszy swoje wzruszenie rzekła do księcia z goryczą:

— Mój dostojny małżonku, jeszczem tu nigdy nie była nie wyprosiwszy jakiéj ulgi lub pociechy dla którego z tych nieszczęsnych. Nie wchodzę jakie mogą być winy nowego więźnia według własnego sumienia go karzesz, ja według mojego pragnę nieść pomoc jego rodzinie, któréj żywiciela wydarto i proszę o pozwolenie doniesienia o tém nieszczęśliwemu.

— Nie potrzeba było na to twego życzenia, Franusiu, odrzekł smutnym głosem książe,

którego gniew i zazdrość nieco się uspokojały; już to jest obmyślone: Riegerze! idź do obwinionego i powiedz mu, że jego żonie naznaczam 200 guldenów rocznie, że syna wezmę do akademji wojskowéj, a córkę każę wychować *w école des demoiselles* i zapewnij go, że jeżeli okaże skruchę, pobożność i przyzwoitsze umysłu usposobienie, los jego będzie polepszony.

— Zdaje mi się, że już osiągnięty został cel naszego tu przybycia, odezwała się zimno Franciszka.

— Jakto, jakże to rozumiesz?

— Nic, chciałam tylko zaproponować żebyśmy zaraz do Sztutgardu wrócili.

— Jak rozkażesz. Pepino! zobacz czy wszystko gotowe.“

Zmuszony do milczenia zamknięciem Schubart więcéj gryzł księcia niż kiedy mówił i pisał. W jego uwięzieniu cała Europa widziała zemstę osobistą, która padła plamą na Karola Eugeniusza. Barnbühler i Röder podali się do dymissji, wkrótce téż ten ostatni umarł, a na łożu śmierci odezwał się z dawną poufałością do księcia: Karolu! pojednaj się i ty z Bogiem i pamiętaj że umarli nie mogą już dobrze czynić. Te słowa mocno księcia przejęły, on bowiem był już także w jesieni swego życia. Nie długo potém w piędziesiątą rocznicę jego urodzin roku 1778, wyszedł ten osobliwszy edykt, w którym prosi swego ludu o przebaczenie mu błędów i postępków niesłusznych i obiecuje się zmienić. Sam osobiście wraz z żoną słuchał jak czytano z ambon tę jego odezwę(*).

— Franusiu, rzekł do żony, powróciwszy z kościoła do zamku. Jeżeli z Schubartem źle sobie postąpiłem, to moja miłość dla ciebie temu winna. Chcę się zwyciężyć, chcę go puścić na wolność.

— O Karolu, najdroższy Karolu! jakże mam ci za to podziękować, zawołała hrabina rzucając mu się na szyję.

— Nie dziękuj mi zbyt spiesznie, odparł mąż blednąc i cofając się, radość bowiem w głosie Franciszki obudziła na nowo jego zazdrość uśpioną; jeszcze na to sobie dużo czasu zostawić muszę. Chcę mu ulżyć, ale go uwolnić od razu, nie, radość zabićby go mogła, dodał szyderczo.

Taką to jest namiętność, raz słabnie i zdaje się ustępować głosowi rozumu, drugi raz igra nielitościwie ze swą ofiarą.

Po niejakim czasie książe rozkazał jednak przenieść Schubarta z ciemnicy do wygodniejszego pokoju, dać mu lepsze pożywienie i dozwolić swobodnego chodzenia po twierdzy. Przy wyprowadzeniu go z wieży byli oboje z Franciszką. „Zaskrzypiały rygle i zawiasy żelaznych rdzą pokrytych drzwi: Schubarcie, krzyknął Rieger, wychodź! I pokazał się na progu wybladły, chudy człowiek z obłąkanym wzrokiem. Był to Schubart.

(*) Historyczne.

— Doszło do mojéj wiadomości, odezwał się książe, żeś poprawił skruchą swoje życie niegodne. Jest to jedyna droga do odzyskania mojéj łaski. Będzie ci teraz dozwolone grywać na organach przy nabożeństwie, będziesz miał żołd wojskowy, lepsze mieszkanie i wolność przechadzania się po twierdzy.

— Wolny oddech, świeże powietrze! zawołał Schubart łkając: O! niech ci będą dzięki litościwy panie. Ukląkł, wyciągnął ręce, chciał jeszcze dziękować, lecz nie mogąc znieść nad miaru radości, padł zemdlony na ziemię.

Franciszka mocno ścięła zęby aby nie jęknąć. Sztywna, zimna, przezwyciężywszy wzruszenie, patrzała spokojnie na leżącego bez życia. Karol Eugeniusz spojrzał na nią z pewnym rodzajem zadziwienia, potém niespokojny odprowadził ją na bok i rzekł z rozrzewnieniem w głosie: Biedak! strasznie się odmienił, dziwi mię Franusiu, że tak możesz patrzeć na niego spokojnie.

— Jestem twoją żoną i czuję, że serce moje skamieniało. Zresztą cóż chcesz, dodała z odcieniem szyderstwa, będzie przecież świeżego powietrza używał.

Książe spojrzał na nią bacznie, Przywołał Riegera: słuchaj! trzeba od dzisiaj zupełnie inaczéj obchodzić się z Schubartem. Przyrzeknij mu, że jak się będzie dobrze sprawował, zostanie zupełnie uwolniony.

Franciszka więc zrobiła pozornym chłodem to, czego litością wymódz nie zdołała.

. . . .

Żona Schubarta dotąd się z nim widzieć nie mogła, odbierała tylko naznaczoną jéj przez księcia pensję, oraz zewsząd dowody wielkiego współczucia i przyjaźni. Haug ofiarował jéj swój dom, a najwięcéj świadczył zacny katolicki kapłan biskup Antoni Ignacy z Eilwangen. Następnego roku przybyli w odwiedziny do Sztutgardu Falcgraf Karol Teodor i książe sasko-wejmarski, Karol August razem z młodym Göethe. Wszelkiemi sposobami starali się otrzymać uwolnienie dla więźnia ale napróżno; świeżo bowiem wyszły z druku napisane w więzieniu przez Schubarta wiersze zbyt śmiałe i Karol Eugeniusz utrzymywał że temu gadowi jeszcze nie wypuszczono wszystkiego jadu. Nie lubił przytém obu książąt nazywając ich tegoczesnemi mędrkami, oraz i pana radcy Göethego, którego poufałości z niemi cierpieć nie mógł, im bowiem daléj w lata się zapędzał, tém bardziéj czuł się księciem staréj daty. Jednak uprzejmy dla swoich gości, zaprowadził ich do akademji, któréj uczniowie z uwielbieniem patrzeli na śpiewaka Göetza i Werthera. Ale gdzie mógł pokazywał swoją niechęć Göethemu i zakazał profesorom wchodzić z nim w przydługie rozmowy, musiał jednak zezwolić aby razem z książętami odwiedził Schubarta w Aspergu.

Wkrótce potém przyszła z Bayreutu wiadomość że księżna Fryderyka prosi aby ją ksią-

że wraz z żoną odwiedził. Oboje uczynili to niezwłocznie. Gdy weszli do pokoju chorej ta uniosła głowę ze smętnym uśmiechem mówiąc:

— Dziękuje ci Karolu, że mi przed śmiercią dajesz widzieć jeszcze twoje oblicze, że mi przyprowadzasz tę szlachetną kobiétę, która lepiéj odemnie pojęła jak z tobą obchodzić się, jak serce twoje uczynić czułém na dobro poddanych. Twój los jest godzien zazdrości, rzekła zwracając się do Franciszki. Tak, kocham cię, bo uczyniłaś szczęśliwym człowieka do którego ostatnie me tchnienie należy!

— Więc ty kochałaś mię Fryderyko? Ty?... zapytał książe. Fryderyka objęła Franciszkę i przycisnęła ją do piersi.

— Tak Karolu, zawiniłam wprawdzie przeciwko tobie, obraziłam księcia, ale nigdy męża!

Franciszka spojrzała na nią blednąc, Karol Eugenjusz pytał z przerażeniem:

— Jakto Fryderyko, tyś nigdy nie złamała mi wiary! to niepodobna, i spojrzał na pannę Berlichingen, która stała w nogach łóżka blada jak posąg marmurowy.

Księżna kazała wyjść wszystkim oprócz pastora i mówiła daléj:

— Brałam stronę mego wuja przeciw tobie, tak mi doradzała moja duma.... wiesz jak mój nierozsądek kosztował życie niewinnego...

— Berlichingen niewinny! zawołał książe.

— Tak jest, twoim prawom jako małżonka nie ubliżył nigdy!

Franciszka drżąc, spojrzała na księcia, który rozpaczliwym gestem ściskał rękoma pałającą głowę, Fryderyka wytłomaczyła szczegóły pobytu Berlichingena w jéj sypialnym pokoju, a pastor dodał to co wiedział od pokojówki Bering, którą Pepino namówił żeby szpiegowała księżnę. Powiedział jéj między innemi, że książe *chce* aby księżna wydała się niewierną, słowem wykryła się tu cała intryga, któréj Smergali główną był sprężyną i którą też wkrótce życiem przypłacił. Został bowiem za wszystkie sztuczki swoje tego rodzaju powieszony. Fryderyka po takiém wysileniu czuła się coraz słabszą, miała jednak jeszcze czas włożyć pierścień ślubny na palec Franciszce i przekazując jéj wszystkie prawa małżonki uznać za księżnę Wirtembergską. Karol ze łzami błagał jéj o przebaczenie, a ona bez urazy dziękując mu za pociechę w ostatniéj chwili doznaną, skonała na jego ręku.

W grudniu 1780 roku opuścił Schiller akademię, i zakończył swe kursa medyczne świetnie bronioną rozprawą. Lecz jakież czekały go zawody! on, ulubieniec księcia, przodujący na wszystkich szkolnych uroczystościach, o którym rokowano jego ojcu i matce jak najświetniejsze nadzieje, wyszedł na felczera w pułku *Augé* z 18 guldenami miesięcznego dochodu i stracił nawet prawo noszenia szpady, którego używał będąc w oddziale szlachty.

— A! rzekł do zasmuconych rodziców, nie będę na nikogo rachował, tylko na siebie. Pozwólcie mi iść daléj według własnego natchnienia.

— Kieruj się jak chcesz, byle z honorem, odpowiedział mu ojciec.

Książe Karol kochał wprawdzie akademją i ucznia Schillera jako jéj najprzedniejszą ozdobę, ale za progiem zakładu już go ten mniéj obchodził, témbardziéj też o poświęcającym się poezji felczerze, o medyku autorze ani chciał słyszéć.

Fryderyk urządził się jak mógł według swoich szczupłych dochodów. Najął na współkę z dawnym kolegą pokój od wdowy po kapitanie pani Laury Bischerin i założył sobie poświęcić się literaturze. Tymczasem też i miłość wstrząsnęła po raz piérwszy jego sercem młodzieńczém. Pani Laura była to miła, zręczna, pełna uczucia blondynka, lubiąca czytać powieści i ładniutko śpiewać przy fortepianie, cóż dziwnego, że wkrótce okazała się wzajemną dla młodego poety?

Schiller był jakiś czas redaktorem pisma politycznego dwutygodniowego p. t. *Wiadomości ku pożytkowi i przyjemności*, późniéj złączył się z kilku przyjaciołmi dla wydawania pisma czysto literackiéj treści: *Repertoar Wirtembergski* ale i to dla śmierci jednego z nich wychodziło niedługo. Nareszcie nadeszła z Frankfurtu wydrukowana trajedja: *Rozbójnicy*. Była to wielka uroczystość dla Schillera i jego przyjaciół. Zebrano się w kilka osób u niego wieczorem, Laura robiła honory, że zaś ubogi felczer nie miał za co uczty sprawić, ten i ów przyniósł buteleczkę pod pachą, a Laura wybornych dostarczyła butersznitów.

Schiller wnosząc toast rzekł między innemi:

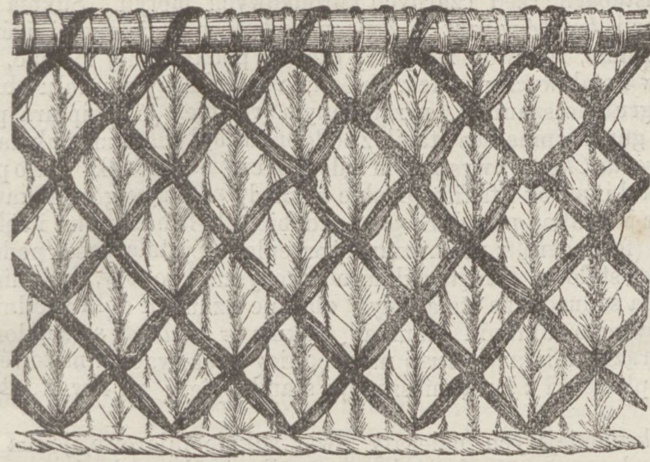
— Przyzwijmy bratniéj miłości, przyzwijmy téj najmilszéj pocieszycielki nadziei i łaski ducha bożego, ażeby nas synów téj znikoméj ziemi, połączyła jedném niewygasłém uczuciem!

A Haug mając na uwadze utwór literacki swego ukochanego ucznia, zawołał podnosząc pełną szklanicę:

— Życzę, aby to w cieniu narodzone dziecię, wesoło na świat wyjrzało, żeby ci *Rozbójnicy* rabusie, *porwali* sobie serca w całych Niemczech, i jak dzwon dźwięczny nową poezji erę wygłosili. Fryderyku, synu mego ducha, składam w tobie wszystkie moje nadzieje. Niech ci Bóg użyczy tego co odmówił tamtemu. (*d. n.*)

Dodatek do Zeszytu XI. Kółka Domowego.

Robota na drutach pokryta siatką odmiennego koloru.



W podobny sposób robić można z włóczki w dwóch kolorach pasy, które zszywane tworzą kołdrę, lub téż kołderki dziecinne z jednéj sztuki. Bierze się dwa grube druty drewniane i dwa kolory włóczki berlińskiéj n. p. błękitny i biały. Nabrawszy tyle oczek włóczką białą, jak ma być szeroki pas lub cała kołderka, urwać nitkę i wziąść błękitną włóczkę. Zdjąć pierwsze oczko bez przerabiania, zakręcić nitkę za drut, zdjąć podobnież bez przerabiania drugie oczko, następne zaś przerobić zwyczajnym sposobem. Zakręcić znów nitkę, zdjąć jedno oczko, drugie przerobić zwyczajnym sposobem i tak aż do końca druta. Następny drut robi się w ten sposób: urwać nitkę błękitną a wziąść białą, zdjąć pierwsze oczko bez przerabiania, zakręcić nitkę na drut, zdjąć ztamtego druta jedno oczko utworzone z nitki i jedno zwyczajne, przerobić następnie zwyczajnym sposobem. Znów zakręcić nitkę na drut i to samo co wpierw powtórzyć. Tak robić aż do końca druta. Znów urwać nitkę białą a wziąść błękitną, zdjąć pierwsze oczko bez przerabiania, wziąść razem trzy oczka z druta, jedno zwyczajne, a dwa utworzone z zakręconéj nitki, przerobić ich razem, potem zakręcić nitkę na drut i zdjąć oczko, znów przerobić trzy jak pierwéj, znów zakręcić nitkę, zdjąć oczko i przerobić trzy, tak się robi aż do końca druta. Czwarty drut tak jak drugi, piąty jak trzeci i do końca roboty powtarzać wten sposób odmieniając za każdym drutem kolor włóczki. Włóczka biała będzie stanowić tło, błękitna zaś siatkę na wierzchu tak jak przedstawia rycina nasza.

Do tego poszytu dołącza się deseń kanwowy złożony z dwóch oddzielnych części na jednéj tablicy, oraz forma wycinana z papieru najnowszego kroju stanika *a caraco*.

O UBIORACH.

U pani Adeli Hoffmanowéj któréj magazyn od tak dawna słusznie u nas słynie, wykończeniem i gustem wyrabianych w nim ubiorów, oglądaliśmy w tych dniach kilka pięknych sukien przeznaczonych do wyprawy; opiszemy je czytelniczkom naszym o ile można, zaczynając najpierw od ślubnéj. Suknia ta była z białéj materji zwanéj *gros d'Ispahan* gładko zrobiona, ze stanikiem pod szyję przybranym również jak rękawy brukselską koronką, w miejscu

paska szła szeroka biała szarfa z końcami. Druga suknia z materji koloru lila zwanego *Ofelja* gładko również zrobiona, przystrojona była u dołu i na rękawach, gładkim pasem białéj jedwabnéj gipiury, zdobnéj w szklanne krople wody, zwieszające się u brzegu. Po nad tą koronką szedł do koła w nie wielkich odstępach rzęd czarnych koronkowych motyli. Suknia z czarnéj tęgiéj materji *broché* w rzut róż mocnego koloru z zielonemi liśćmi, miała pasek i ubranie rękawów z gipiury czarnéj podkładanéj zielono, z haftem z koralików i stalowych perełek. Spódnica szeroka była u dołu obszyta jedwabnym grubym sznurem, przetykanym również jak gipiura perełkami stalowemi, guziki spinające stanik z podobnym były haftem. Suknia błękitna z materji *gros de Chypre* z wystrojem u dołu z czarnéj koronki biało podkładanéj, miała takiż pasek i takież płaskie kokardy zdobiące górę rękawów. Suknia czarna jedwabna *gros de Smyrne* ozdobiona była na staniku i rękawie akselbantami (fouragere) z pletni czarnéj przeplatanéj stalą, pasek podobny spinała szeroka stalowa rznięta klamra przepysznéj roboty, spódnica u dołu obszyta była sznurem ze stalą, gdyż obecnie sznur u dołu spódnicy odpowiedzić powinien ubraniu stanika. Suknia *z poult de soie* koloru *maron* w czarne prążki, miała wystrój na spódnicy i rękawach z matowéj czarnéj jedwabnéj plecionki z lawą mieszanéj i stanik spięty na lawowe kańczaste guziki.

Do skromniejszych należały dwie suknie fularowe, jedna fioletowa z czarnym, ubrana czarną koronką na staniku i rękawach, druga na tle białém w rzut różnokolorowy, oraz śliczna suknia z perłowéj jasnéj alpagi koloru zwanego *claire de lune* ubrana z nieporównanym wdziękiem aplikacją z fioletowéj materji naśladującéj wstążkę któréj brzegi stalkami objęte były. Wstążki takie szły od góry wzdłuż podwójnéj spódnicy podpinając ją u kolan zakończone kokardą która lubo płaska bo z aplikacji utworzona, czyniła wrażenie zwyczajnéj kokardy. Paletocik podobnież był ubrany, suknia ta nie miała stanika tylko bluzkę muślinową białą. Biała organtynowa suknia ubrana była na spódnicy i staniku szerokim i bardzo ładnym deseniem z aplikacji białego przy stembnowanego z dwóch stron perkalu, według najnowszéj paryzkiéj mody. Do niéj była śliczna turkusowa szarfa na półtory ćwierci szeroka z brzegiem z jednéj strony w różnokolorowy deseń turecki *genre cachemire* wyrabianym. Druga biała muślinowa suknia przystrojona była wstawkami gipiurowemi, falbankami i szeroką błękitną szarfą z białym brzegiem. Trzecia (szlafroczek ranny) zwany *saut de lit* z białego nędzaku z szeroką falbaną od kolan, miał szarfę szkocką wróżne kolory. Niepodobna opisywać kształtu każdéj z tych białych sukien, dość powiedzieć że wszystkie były zupełnie odmienne, a z takim wdziękiem i gustem wykończone, że wybór był trudny bardzo pomiędzy niemi.

Suknia z fioletowego kaszmiru kroju *Rachel* przyozdobiona była długiemi i szerokiemi wstęgami z materji zwanéj *etoffe georgienne* które zakończone w ząb na plecach po nad paskiem, z przodu biegły od ramion aż do dołu sukni z każdéj strony, rękawy również były przyozdobione, a szeroki pas z tejże saméj materji związany na misterny węzeł z boku, zniezbyt długiemi końcami, na wzór wschodni, dopełniał tego pięknego ubrania, które zdobić by mogło jaką odaliskę. Drugim przepysznym strojem tego rodzaju lecz który nie już całodziennie, lecz jedynie na rano mógł być noszonym, była suknia czyli szlafrok z pąsowego cieniuchnego kaszmiru podszyty białym fularem, kroju który przypominał kościumy z czasów Agnieszki Sorel. Ubrany był cały szeroką jedwabną turecką taśmą zwaną *galon oriental* która do koła spódnicy tworzyła w niewielkich odstępach literę A, nie przekreśloną tylko przez środek, taśma ta przedzielała trzy razy plecy, tak że koniec środkowy zakończony szpiczasto z jedwabnym kutasem, dłuższy był aniżeli

dwa poboczne tak samo zakończone. Dwa takie końce z przodu od ramion nie dochodziły szerokiego pasa z tejże saméj taśmy, podobnie związanego jak u fioletowéj sukni. Wszystkie materjały na opisane przez nas suknie odznaczające się zarówno dobrym gatunkiem jak gustem wykwintnym, dostarczone zostały z magazynu pani Adeli, który zaopatrzony został obecnie za powrotem właścicielki z Paryża, wnajświeższe artykuły mody. Pomiędzy innemi oglądaliśmy tam jeszcze bardzo piękne beduiny z czarnéj wełnianéj koronki *Lama* po rs. 50 i rotondy po złp. 140. Z takiejże saméj koronki białéj beduiny po złp. 400. Beduina z czarnéj koronki Chantilly, biała kaszmirowa bogato haftowana słomką, okrycie czarne z tęgiéj materji zdobnéj lawą i pasmanterją, oraz taki paletocik, przeznaczone były także do powyżéj opisanéj wyprawy.

Ktoś bardzo słusznie powiedział że moda to duży kufer, w którym ciągle przekładają się rzeczy w taki sposób, że gdy cały wypróżniony zostanie, to co wpierw było na spodzie, znów na wierzch wychodzi. Kapelusze zamknięte tak długo u nas odrzucone, nawet przez panie których wiek niezupełnie się stosował do pasterskiego okrycia głowy, teraz już i przez młode osoby prawdziwie eleganckie przyjęte zostają. Widziemy w prawdzie jeszcze wiele okrągłych kapeluszy, ale te robią się tylko dla tych co ich koniecznie wymagają. W Paryżu cudzoziemki jedynie pokazują się jeszcze w podobnym ubiorze. Prawda że tam kapelusze okrągłe zawsze tylko zakupowane były na wieś lub do wód, a owych dziwacznych kaskietów Garibaldek, Batorówek, etc. etc. tak u nas upowszechnionych, nie widywano nigdy, zwłaszcza u osób, które w téj stolicy dobrego smaku za ubierające się elegancko uchodziły. Do mód dawniejszych a wznowionych, należą także owe świecidła tak hojnie rozsypywane na wszelkich częściach kobiecego ubioru. Niezmiernie się strzedz potrzeba aby uniknąć śmieszności i przesady w ich zastosowaniu. Wszelkie perełki, blaszki, paciorki (aby jeszcze nie zbyt duże) mogą wyglądać jako tako na siatkach, lub ubiorach wieczornych, lecz na kapeluszach bardzo są niestosowne. Z kapeluszy okrągłych, które na żądanie naszych pań sprowadził pan Włodkowski, najnowszego fasonu były z główką okrągłą i prostém niewielkiem rondkiem, ubierają się bardzo skromnie opasują najwięcéj aksamitką z długiemi końcami i zdobią jedném kolorowém piórkiem lub ptakiem. Widzieliśmy u p. Włodkowskiego różnego rodzaju guziki do sukien i paltocików damskich, mające naśladować owe złote, perłowe i djamentowe guzy, zdobiące dawne stroje. Najwięcéj znich podobały nam się guziki z kryształu skalnego rznięte w kant po złp. 30 tuzin. Gładkie szklanne wcale ładne także były po złp. 13 gr. 10. Guziki takie powinny się dawać jedynie do jedwabnych strojnych sukien, gdyż do codziennych za nadto są błyszczące. U P. P. Wilczewskiego i Sokołowskiego oglądaliśmy swieżo sprowadzone bluzki muślinowe ze wstawkami i żakonotowe pierwsze w cenie od rs. 2 i pół do rs. 6, drugie na rs. 2. Na złp. 21 były bardzo ładne bluzki z wycięciem czworograniastem (carré). Kołnierzyki i mankiety płócienne z haftem na batyście wstawionym jak medaljon, były od złp. 5 gr. 15 wcale ładne aż do rs. 6. Oryginalniejsze były pomiędzy niemi tak zwane *col juge* tworzące z przodu dwie podłużne klapki jak na starych portretach, całe ze wstawek i marszczonego muślinu. Kołnierzyki z haftem tureckim różnokolorową wełną, w kostki lub medaljony, kosztowały wraz z rękawami po złp. 18.

IV.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

Zatrudnienia ogrodnicze w Czerwcu.

Inspekta ze szczególniejszą troskliwością pielęgnować. Rogóżki i słomianki choć zdjęte z ispektów, położyć w bliskości, aby przeciw deszczom ulewnym lub gradobiciu inspektom i roślinom podać ochronę. Rychłe fasole karły częścią kwitną, częścią już wydały owoc; jeśliby już zaś zebrane zostały, grzędy jeszcze melonami obsiać można. Wszystkie inspekta kalafiorami, kalarepą i selerami posiane, w czasie pogodnym zupełnie ogołocić, roślinki przesadzając. Tak samo postąpić z inspektami truskawkowemi i szparagowemi; szparagi zaś, jako już niepożyteczne, wyrzucić.

Wszystkich gatunków kapusty w miesiącu bieżącym główne wykonywa się sadzenie. W dniu pochmurnym, gdy się zanosi na deszcz, o każdéj godzinie przesadzenie uskuteczniać można.

Fasole w Kwietniu zasiane, w pierwszym tygodniu bieżącego miesiąca ogracować i ziemią obsypać. Leżące na ziemi gałązki fasoli tyczkowéj przywiązuje się do tyczek, a tyczki wiatrem pochylone lub zrzucone nanowo powstawiać. W ostatnim tygodniu bieżącego miesiąca robi się jeszcze jeden zasiew fasoli do późno-jesiennego użycia, na co najprzydatniejsza fasoli karłowata czyli piechota.

Wszystkie rośliny korzonkowe gracką okopywać trzeba, z chwastu pleć, a kartofle obsypują się. Roślinki korzonkowe za gęsto rosnące, przerzedza i przesadza się, aby pozostałe miały ziemi poddostatkiem. Marchew ranna teraz wydaje jadalne korzonki, z tychże największe wyjmują się, aby reszta miała ziemi dosyć i spieszniéj wyrastała.

Goździki w Kwietniu posiane już dosyć urosły aby je można przesadzic; przeto przenoszą się na grzędy dobrze skopane i spulchnione, lecz nie świeżo nawiezione, odstępami na 9 cali. Zeszłoroczne w gruncie stojące goździki, w drugiéj połowie miesiąca bieżącego rosną w łodyżki kwiatowe; trzeba im więc dać pręciki, łodyżki do nich przywięzując łyczkiem.

W miesiącu bieżącym nasienie pierwiosnek zaczyna dojrzewać, dlatego krzaczki, w czasie kwitnienia przeznaczone na nasienniki, pilnie oglądać trzeba, pojedynczym dojrzałym odejmując torebki nasienne.

Liście przekwitłych roślin cebulowych, mianowicie hjacentów i tulipanów, teraz żółkną i więdną, co dowodzi, iż wegietacja ich za rok bieżący skończyła się. Rośliny takie wyciągają się w dniu suchym a ostróżnie, aby cebul nie nadweręźać. Cebule wybrane aż po liście, okrywają się suchą ziemią, do któréj ani słońce ni deszcz przystępu nie ma, aby się nie zbyt rychło dostały na powietrze, a powoli powysychały. Po uschnięciu wszystkiego liścia, rośliny wyjmują się i obierają ze wszelkiéj nieczystości, liści i korzeni, a na miejscu przewiewnem i suchem przechowują aż do następnéj jesieni.

Narcyzy, żonkille, tacety tylko co trzy lata, lecz pod temi wszystkiemi warunkami, jak hjacenty i tulipany wyjmują się.

Wszystkie w kwietniu i w maju posiane i jeszcze nieprzesadzone roczne i trwałe kwiaty, obecnie przenieść trzeba na miejscu w donice lub w grunt. Wszystkie nasiona dojrzałe zbierają się.

Rośliny szklarniane obecnie oglądać pilnie i pielęgnować. Jeżeli jeszcze nie wszystkie poprzesadzane, uczynić to w tym miesiącu. Mianowicie starych lub chorych drzew pomarańczowych, nieomieszkać przesadzić do świeżego gruntu.

Lewkonie w maju wysadzone, obecnie po raz pierwszy ogracować należy.